



11 57 2000

Egz. archiwalny IBL

Wydanie tytułowe, Evidencja
ichron nie znane, zbiorku
F. Faleńskiego "Z po nad
mogil." Spisane za-
honne w Wernawie w r. 1879
(cf. Korespondencja, 1957) s. 135
w B.S.K. s. 180 w CV.

<http://rcin.org.pl>

PRZEBRZMIAŁE DŹWIĘKI.

PRZEBRZMIAŁE DŹWIEKI.

POEZYJE.

DREZNO.

DRUKIEM I NAKŁADEM J. I. KRASZEWSKIEGO.

1870.



**INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-230 Warszawa

Tel. 26-68 55, 26-62-31 w. 42

139

<http://rcin.org.pl>

L

PRZEBRZMIAŁE DŹWIĘKI.

Z zamierzchłych dali zbudź się rzeszo mglista
Orszaków tłumnych! i niech z wami wstawa
Trab dźwięk i tentent, gwar i zgiełk, i wrzawa
Działania żądry, i o ziemię łzawa
Rzucona skarga którą wiatr wyśwista.

O do mnie lutni, strojna w twarde liście
Skręconych wiekiem dębu latorośli!
Niech duchy ojców, co jak on wyniośli
Laur i oliwny cichy krzew przerośli,
Żelaznej mowy dadzą dźwięk lutniście.

Przystaly tobie nawet dzikie zgrzyty,
Jakie niestrojna stał wygryza w szkliwie;
Bowiem być może nieraz, iż dotkliwie
Uśmiechem gorzkim usta sobie skrzywię.
Bolesnych wspomnień łez lub skarg nie syty.

Jednak, ilekroć w oczach mi się slania
Świat, jak mogilnik kośćmi w bród zasuty,
Sam siebie tęschny pytam: czy dopóty
Przemocy na nim, grzechu i pokuty,
Dopóki w ludziach gorączki działania?

1*

I oto zwolna, dzionek gdzieś majowy
Spokoju pełen, słodko we mnie wzruszy
Wspomnienia senne, gdy wśród leśnej głuszy
Nad zdrojem chłodnym, skromny śpiew pastuszy
Dziejów mię uczył prostaczemi słowy.

A więc na światło! Niech jak trupie próchno
W zmroku, wśród ziemskiej chwały cmentarzyska,
Za całą jasność błędny ognik błyska —
Słońcu on prawdy nie dostoi z bliska,
I brzaski ranku tchem go rzeźwym zdmuchna.

O Panie! Duch Twój niech mi towarzyszy!
Ty spraw, by Sądu Twego, w mglistej dali,
Cudzy jak swoi, wielcy jak i mali,
Grzmiący jak trwożni równo doczekali,
Zgodzeni wiecznie w jednej wspólnej ciszy.

II.

ŻALE JEFFITHY.

<http://rcin.org.pl>

- 38... A gdy odeszła z rówienniczkami
i towarzyski swemi, płakała dziew-
wictwa swego na górach.
39. A wypełniwszy dwa miesiące, wró-
ciła się do ojca swego, i uczynił
jej jako był obiecał — która nie
uznała męża...

Księgi Sędziów. Rozdział XI.

I.

JEFFITAH.

Zbudźcie się senne dziewczęta!
Już tchem poranku zdmuchnięta
Na niebie rzesza gwiazd blada,
W różanych brzaskach przepada.

Snują się mgły nad dolina,
Wstają obłoki i płyną,
W wschodową patrząc się stronę,
Senne i zarumienione.

Schylony ponad odmęty,
Szumi modlitwę Cedr święty,
Dołem cień zbladły się ślania
W powiewnych blaskach zarania.

Czekając słońca wśród ciszy,
Wietrzyk pod liśćmi gdzieś dyszy,
I podpatruje ciekawy
Miłośne kwiatów zabawy;

Tam w jarze łania pierzchliwa
Z nocnego łoża się zrywa —
Wstrzęsła się dumnie, i z głowy
Spadł jej deszcz rosy perłowy.

Gdzie wzdęty potok, z gór zbiega,
Pije i igra u brzegu,
Pręży grzbiet, giętki i szyje, —
Szczęśliwa! Czuje że żyje!

ZBÓR DZIEWCZĄT.

Myśli, że wiecznie żyć będzie,
Ale jest w błędzie,
Bowiem, słaniając się z cicha,
Myśliwiec czyha.

JEFFITAH.

Zewsząd uśmiecha się życie,
A wy śmierć blada wieszczycie?

ZBÓR DZIEWCZĄT.

Przynajmniej choć kres przerywa
Dni jej zaranie,
Zejdzie ją śmierć litościwa
Niespodziewanie...

JEFFITAH.

Śmierć? Śmierć? O zborze mych dziew!
Zkąd wam ponury ten śpiew?

ZBÓR DZIEWCZĄT.

Od dni gdy padł Ammonita,
Strzał lotem chwile twe biega...
Ocknij się córo Jefftego —
Twój to ostatni dzień świta!

II.

JEFFITAH. •

Co? ostatni? Co to jest? co znaczy
Dźwięk ten głuchy? Więc to świetne zorze
Budzi się w uśmiechu, by w rozpacz
Kłaść się do snu? Nie, to być nie może.
Coście rzekły, rzekłyście nie mądrze,
Przykre snadź widzenie mając we śnie;
Jeśli żyje lada kwiat, to skądże
Mnieby jednej umrzeć tak przedwcześnie?
Czyż o chłodnej myśleć dziś mogile,
Gdy w koło niej samej tak błękitno?
Kiedy na niej kwiatów kwitnie tyle,
Gdy ponad nią blaski słońca kwitną?

Kiedy luną z chmur jesienne biedy,
W mgliste ranki, w smutne mgły wieczora,

Gdy na ziemi kwiat, na niebie kiedy
Słońce zwiednie, — wtedy umrzeć pora.
Ale dziś, w świetlaną tę pogodę,
W ten Maj życia, w tę świąteczną wiosnę...
O! na Boga klę was siostry młode,
Weźcie nazad słowo nie litosne.
W domu ojca mego, znajdzie wiele
Szat wzorzystych, najpiękniejszych w świecie,
Zausznice, kolce i manele,
Bierzcie w zamian wszystko co zechcecie.

Dam wam więcej — dam wam wszystko z siebie,
Własną duszą się podzielę z wami —
Tylko błagam was przez Boga w Niebie:
Co? wszak kłamstwo usta wasze płami?
Toż co chwila wiatry mi donoszą
Od rodzinnej strzechy świeże wieści;
Każdy tylko woni swych rozkoszą,
I tkliwemi słowy mię upieści.
O! tam — widzę, jasno, choć z daleka,
Gdzie wśród palm się strumień szemrząc wije,
Tam mię ojciec z utęschnieniem czeka,
Rychło rzucę mu się znów na szyję. . . .

III.

Nie! nie! precz! precz z tamtąd! Tam na progu, błada
Stoi śmierć, i tkliwych pieszczot nie dopuści! . . . —
Co? toż siwy gołąb ojciec sam! . . . O biada!

Wabi w ramion sploty, ale w nich przepada
Życie, jak w rozpękłej słońca blask czeluści! . . .

Boże! więc to prawda? Więc już Wołę Twoje
Ni modlitwa wzruszy, ni lzy zmiękcza czyje?
Więc to już śmiertelne kwiaty skroń mi stroją?
Jakże jest dziewiczy rąbek marna zbroją,
Jeśli pierś tę białą zimny nóż przesyje!

Zmierzchło. Czy to w oczach mych? O! nie, zuchwali
Aniołowie burzy, zwici w chmur tumany,
Dmą ku słońcu, by je zgasić, nim się spali
Blaskiem jego Szatan, wódz ich. Tam grzmi w dali,
Może piorun? — jakże byłby pożądany! . . .

Nie, to ryk lwa w puszczy, który krając strzeże
Kogoby mógł porwać w swej krwiożerczej chuci.
Śmierć? co? śmierćby miała tknąć te usta świeże?
Śmierć ten wzrok płomienny w ciemne wryć bezbrzeże?
Nie, nie, precz z ciemnością! — słońce zaraz wróci. . . .

I znów cisza. Z wstydem pierzchły sny złowieszcze.
Z szafirowej dali, rój obłoczków senny
Ciągnie w ślad za złotym dniem. I czemuż jeszcze
Członki mi ziębiące przebiegają dreszcze,
Jakby chłód z ziejącej grobów pleśń Gehenny?

Co? co? umrzeć? Śmieszni ludzie! Czyż weźmiecie
Krew niewinna z serca co dwa życia sprzęga?

Jeśli każdy ojciec kocha własne dziecko,
Czyliż Jeffthe w łonie krzemień ma? Toż przecię,
Dość mi do nóg mu się rzucić. . . . — A przysięgą?!..

Co? przysięga? kłamstwo! Wieści to potwarcze!
Tyś jej nie mógł wyrzec, Sędzio Izraela.
Lub jeśli to prawda — precz ponury starcze!
Bo przekleństwo twa oprawczą dłoń obarczę,
Że usłyszy w Niebie Bóg co gromem strzela!

O! i gdyby żyła matka moja biała!
Widzę ją — światłością Niebios twarz jej plonie —
Gdyby żyła jeszcze boleściami ciała,
Prędzejby jej pękło serce, bo je miała,
Niżbyś w krwi twej własnej zbroczył drżące dłonie!..

O mój ojcze! przebacz duszy mej, niewieści
Jęć ten. Miej nad sobą litość. Wszak bezemnie
Sam zostaniesz. Kto twe smutki, kto boleści
Dzielić będzie? kto radością cię upieści,
Jeśli własne dziecko pchniesz w Gehenny ciemnie?

Wreszcie — jam tak młoda... Nie wiem już, co zrobię,
Co mam mówić, coby w serce szło najprościej. . . .
Poszarpałam rąbki zdobnych szat na sobie,
Padłam w proch i ręce załamalam obie —
Biada mi! Litości, ojcze mój! Litości!!!.. —

IV.

GŁOS PRZY HARFIE.

Nie chciał twardy król synów Ammon gadać z posły,
Które doń słał był Jeffthe gdy go zdjęła trwoga.
A tak stał się nad Jeffthem Pański Duch wyniosły.

A obchodząc Galaad, ztąd zaś w ziemię wroga
Ciagnąc z hufcy, ślub Panu ślubił, mówiąc w sobie: —
Jeśliby z rak mych wrogom padła klęska sroga,

Ktobądź pierwszy mię w progu potka, w onej dobie
Gdy pogromcą powrócę, kurzem walk okryty,
Z tego Panu objatę całopalną zrobię. —

I poszedł Jeffthe kwapiąc się na Ammonity,
I bił je w Mocy Pańskiej jako wybran z wiela,
I od Aroer, dwadzieścia miast, aż do Mennithy

Wziął im, i gnał ich, aż gdzie Abel się rozściela
W winnic smugi, — i gromce bardzo ich ugniota,
I uniżon jest Ammon z ręki Izraela.

A gdy wracał do Maspha, w dom swój, aźci oto,
Jedyne k'niemu dziecię, dziewczeczka wesoła
Z bębny, z tańcy wybieży i z wielką ochotą.

Którą ujrawszy rozdarł szaty i zawoła: —
Biadaż ci córko! biada i mnie Niebios Panie!
Bom ja z niebaczną chęcią w niebo słał Anioła,

A teraz jakoż zdołam spełnić ślubowanie?
A ona: — Ojczy, jeśli Pan wziął słowo twoje,
Niech mi się wedle tego jakoś rzekł Mu stanie,

Bowiem dał ci i pomstę i chwalebne boje.
I rzekła: — To mi tylko zdarz, niech ku pociesze
Wśród gór przez dwa księżyce smutną harfę stroję,

Dziewictwa mego płacząc, nim pod nóż pośpieszę. —
A on jej: — Idź! — I społem w łzach się rozłączyli.
A gdy poszła, wśród licznej towarzyszek rzesze

Nad dziewictwem swem w górach dwa księżyce kwili...

(śpiew się urywa.)

V.

JEFFITAH.

Tak — dwa księżyce już się przegładaly
W łzach mych, i jako mglisty blask księżyca,
Zmierchły mi oczy i pobladły lica,
I wreszcie zmiękla dusza w piersi białej —
Lecz oto w blaskach promienistej Chwały
Wstaje dzień Pański świetny nieskończenie,
I czas niemężkie rzucić precz kwilenie.

Tak, tak, pamiętam dobrze jak wracali.
Zgiełk był. Gędziebne grzmiały pieśń narzędzia.
Na czele ojciec — Izraela Sędzia —
Szedł, brzmiał rozgłośnie w dźwięczną broń. Zuchwali
Wrogowie gryźli ziemię w mglistej dali. . . .
On ich osądził na śmierć, — jego słowa
Jako krwi wyrok spełnił sam Jehowah!

O grzmijcie dalej trąby! jęczcie fletnie!
Co? w pień wycięci? Stójcie gromce wściekli,
Bo już i nie ma kogobyście siekli!
Boże mych ojców! czyż ten tylko świetnie
Dał krew swą z siebie, kogo miecz podetnie
Na polu żniwa trupów cma zasłanem,
Na którym w Chwale Tyś sam został panem?

Więc niech i ja też watała pierś roztrąca
Boju taranem; tylko członki moje,
Błagam was, w świetną przyobleczcie zbroję,
W dłoń błyski miecza dajcie mi siekace. . . .
Nie — nie udźwignę broni. . . . Jam na łące
Lilia, karmiona słodka rosa Boża. . . .
Dziewicę w białej szacie w grób niech złoża.

Myślałam nieraz wśród uteschnień duszy,
(Bo życie ludzkie, to jak dźwięki pieśni
Płynącej z serca): Czemu nie raz, wcześniej
Niż pieśń swą skończyć zdola, flet pastuszy
W zmartwiałej dłoni zmilknie lub się skruszy?

I oto głos mi groźny odpowiada:
Z winy człowieka śmierć się rodzi blada. —

Więc giniem własnym grzechem porażeni.
Lecz cóż przewinić mogło dziewcze białe?
Pogrom wrogowi, ojcu grzmiącą chwałę —
Świetneż to winy! Tak Pan, gdy w jesieni
Strumień się wzdęty z gór rzucając pieni,
Gromem zwałony cedr w powietrzu wiesza,
By przeszła po nim wszelka stopa pieszka.

O! do mnie! do mnie świętych walk wodzowie!
Pogromcy wroga i mściciele klęski! —
I niech mi trąby zagrzmią dźwięk zwycięzki —
Bowiem ja idę oddać się Jehowie
W zakład przymierza święty. Niech się dowie:
Że choćby słowo złamał ojciec stary,
Ja mu dotrzymam zaprzysięgłej wiary!... —

VI.

Lecz wprzód, o towarzyszki moje!
W płynące szaty niech przystroję,
W kamieni strugi, w pereł zdroje,
Skropioną wońmi krasę ciała.
I tylko weźcie precz zwierciadło,
Boby mię męztwo wraz odpadło,
Gdybym się drżącą i pobladłą,
Lub w oczach moich lży, ujrzała.

Pomnę, gdy nieraz w bujnej żniwa,
Z towarzyszkami jak to bywa,
Igrałam pusta i szczęśliwa,
— To nie dziewczeczka! — tak mówiono —
Podobnie gładkiej szukać wszędzie!
Ukochał Bóg naszego Sędzie!
Potrzykroć ten szczęśliwy będzie,
Który ją sobie weźmie żona! —

Dziś wziąć mię sobie nikt nie życzy...
Mym oblubieńcem, ofiarniczy
Nóż; ślubną czarę, lez goryczy
Pełną, ja sama drząc wychylę...
Na krańcach tam — gdy krwią szeroco
Zachodnie słońce zamigoce,
To spłynąć krwią i mnie w pomroce!
Spieszcie się... Nie, nie, — jeszcze chwilę...

O! gdyby tylko śmierć zawziętą
Przez ból serdecznych słów, zakłęto,
Ażby wróciło wiosny święto —
Łzy mają tak wymowne słowa!
Lecz nie... dziś także święto... Czyście
Widzieli tam, jak uroczyście
Przekłonił cyprys czarne liście?
Czas już umierać... jam gotowa.

Więc precz odemnie żale czyje!
Skrzyjcie mi w perłach pierś i szyję,

I niech szkarłatny pas obwije
Wzorzystą szatę w bisior tkana —
A gdy mi wasze drżące dłonie
W strój z białych róż oplota skronie,
To śnieżnym rabkiem twarz osłonię,
By mej bladości nie widziano. —

VII.

O biada mi! Gdzie w dali
Z ziemią się niebo sprzęga,
Krwawą się łuną pali
Słońce u widnokregu. . . .
To dzień ostatni kona!
Od fal wzdętego łona,
Dreszczem niepokojna,
Powiewna pierzchła wstęga!

Nadzieję mieć daremnie!
Widzicie przecież sami,
Że nawet perły ze mnie
Zdają się kapać łzami,
Szkarłat mię krwią ocieka!
Słonecznej lawy rzeka,
Z chmur zionąc dym, z daleka
Białe mi róże plami!

Próżno mię przystrajacie
W rozlicznych szat odmianę!

Błagam — niech w białej szacie
Za cały strój zostanę —
Na wiatr niech mając kosę,
Pierś naga, stopy bose,
Pod nóż oprawczy niosę
Dziewictwo nieskalane.

Tam — cóż za orszak mnogi
Olśniewa blaskiem oczy?
Grzmia hymn wojenne rogi,
Brzmia harfy psalm proroczy —
To stopa Izraelska,
Jakby po kopach zielska,
Przez wrogów idac cielska,
Zwycięzko ku mnie kroczy.

Dalej! rozpogódź twarze
Mych dziewic rzeszo łzawa!
Zapłatę wziął, kto w darze
Za chwałę krew swą dawa!
Jak watek snu pajęczy,
W przepasce z barwnej tęczy,
Próżno mi świat się wdzięczy —
Już to przegrana sprawa!

Zaraz. . . Niech mej ojczyźnie
Jeszcze się raz użalę —
Krwi co mi z serca bryźnie
Jam nie jest winna wcale!

Spieszmy! . . Już nad kotlina
Mgła się wywija sino,
W ślad za nią, szumiąc, płyną
Ciemności wiecznej fale.

Idę już! . . . jeszcze słowo. . . .
Niech wasza dłoń, Lewici,
Tuż przy mnie ma gotową
Harfę z srebrnymi nici —
W zamian choć za katusze,
Kiedy już umrzeć muszę,
Z dziewiczych ust mych duszę
Niech dźwięczna harfa chwyci! . . .

VIII.

ZBÓR DZIEWCZĄT.

Poszła — i snem się rozwiła. . . .
Nawet w piasku zdmuchnął wiatr jej ślady.
W głębi drzwi zasłona spadła za nią biała.
U przedsionka, wśród ludu milczącej gromady,
Zdrętwiałe groźną ciszą cóż uczynim?
O patrzcie! wyszedł starzec błądy —
Córy już nie ma przy nim!! . . . —

IX.

GŁOS PRZY HARFIE.

.... A gdy czas był — wróciła pełna krasą cała,
I uczynił jej wedle słów swych onej chwili.

A tak nigdy dziewczeczka meża nie zaznała. —

<http://rcin.org.pl>

III.

TERMOPILE.



PRZEDSPIEW.

Hellas — matka bez dziatwy!... Z wschodu nawał
złowrogi

Grzmi kłęskami, krwią błyska!
Garstka Spartan pośpiesza stanąć klinem wszecz drogi,
Lecz nim zgina mężowie, by uczcili swe Bogi
Święte sprawia igrzyska.

Patrzył na to maż Perski w tłumie widzów zgubiony,
Dziwna mu się rzecz zdawa.

Ci rzucają krąg z głazu, tamci biegną w przegony,
Ci się pięściami zmagają, ci krzepkimi ramiony —
A zwie się to zabawa.

Więc stanąwszy przed królem, dziwo prawi nad dziwa,
Król go słucha zdumiały:

Dziwnyż to ten lud Grecki! bój zabawą nazywa —
Swoi walczą z swojemi; tak w nich krew się zda chciwa
Czy też nagród, czy chwały?

Tak on prawi rzecz dziwną. Wtém król rzeknie mu na to:
— Powiedz sługo pokory —

Pewnie łupy zwalczonych, skarby lśniące bogato,
Lub uczczenie królewskie jest zwycięzcy zapłatą,
Pierścień, szkarłat, bisior? —

Tak król prawi przemądrze. Ten zaś rzeknie mu nato:

— Królu! Zysk to dziecięcy!

Ni zwalczonych łup mnogi, ni skarb lśniący bogato,
Ni łask Pańskich zaszczyty, ni dank męstwa zapłata —

Wian z wawrzynu — nic więcej. —

Wtedy z słowy gorzkimi Wódz wśród rady po-
wstanie:

— Cóżś zrobił Mardonie!

Toż jest z guba niechybna z ludem takim spotkanie!

Gdzie tu marzyć zwycięstwo? Śmierć nam, mocny
nasz Panie,

Marnie — w obcej gdzieś stronie!

Tak wódz prawil złowieszczo, król go słuchał ciekawie:

— Biadać Perska potęgo!

Liczba — moc to bezsilna. Wierzcie, jako wam
prawię:

Tym co w walkę się bawia, walczyć — równo za-
zabawie!

Zginać tym, co ich sięga! —

PIEŚŃ PIERWSZA.

K l o t o.

Ciemna Bogini! coś długo i brzmiąco
Z zawiązków światła snuła nić żywiaca —
Rodzico ducha! której w podział dano:
Brzask chwały ziemskiej i żywota rano —
Matko nabranej piersi, z której cała
Ludzkość poczucie siły chciwie ssała —
Duchu przeszłości zamarłej Hellady!
O gdybyś wstała! — gdyby w twoje ślady
Wstał orszak blasków wraz z tobą zamierzchły,
Tchnąłby i powiew, przed którymby pierzchły
Cienie — pył szary — co się wieków ima,
Jak rój Pigmeów obuwia olbrzyma. . . .
Gdyby choć przez sen wtedy żyć podobna,
Och! błogo by mi! — Ja — ptaszyna drobna —
Orłem z mglistego wzbiłbym się urwiska,
I mając w piersi pieśń co z duszy tryska,
Śmiało w gwiazdzistą lotem pchnięta drogę,
Równiebym kochać mógł jak wielbić mogę.

Nieubłaganej konieczności córo!

Nie ma cię więcej! Jako gdzieś ponuro

Trawi się gwiazda ogniem własnej głębi,
I coraz gęściej dym ją w mgłę okłębi —
Zapadła przeszłość w mroczne śmierci cienie,
Przeszłość — Konieczność, Przeszłość — Przeznaczenie. . . .

To może kiedy, żrzałym wiekom w gości,
Wstaniesz ty jeszcze zagadko przeszłości? . . .
O! nie wstać tobie! nie wstać już na zawsze!
Jak w pełnię gwiazdy stają się bladawsze,
Jak w obce słońca niknie miesiąc złoty,
Tak ty skołaś widząc brzask Golgoty!
Bowiem Przedwieczna Boże Myśl skrzydlata
Z natchnienia, ciepła i światła się splata;
I przeto Ona tylko, w czas daleki
Żywa jest, równie z Wieków jak na Wieki.

Więc Myśli Boża! zstap Ty na mnie wieszco —
Brzęcząc uciesznie, jakoć skrzydła pleszcza.
Podobam sobie w śnieżnej waszej szacie,
Podobam w locie, którym wy wzlatacie
Tchy nieujęte! Jako orlik młody
Chcę w lot — chcę w Niebo — nie dbam o przygody.

Zstapże ty na mnie o Roso rzeźwiąca!
Tchnieniem, co słodko w struny ducha traca —
Bo ledwie wioniesz już mnie, mimo chcęci,
Piać — jako płacy skrzydłem w Niebo wzięci.

I oto w piersi dziwnie coś, i oto
Radością płaczę, jakoby tęschnotą.

O Myśli Boża! Ty promienne tchnienie!
Spraw niech rozbłysnę i niech się przemienię.
Bądźże mi słowem! — a ja, próżen pychy,
Pójdę za Tobą posłuszny i cichy —
Boś Ty jest wszystka, jako Mistrz i Głowa,
I okrom Ciebie nie ma w duszy Słowa,

Tam — toń gwiazdzista czy to świt rumieni?
Cicho!... Szmer słyszę!... niby gdzieś — w prze-
strzeni —

Wędrowny łańcuch mknie od krańców świata —
Snuje się w watek — światło z dźwiękiem splata...
Bezład przez chwilę — ażci słodka Zgoda.
Zaczem, pocznijmy — jako nam się poda.

Orzeł, co blisko górnych gwiazd, zuchwale
Utkwiwszy twarde gniazda swego szpony,
Mniemał mieć spokój; — dreszczem w śpiącej skale
O bladym brzasku niesfornie zbudzony,
Zerwał się, bijąc w skrzydła pełne trwogi.
Spójrzak... W przepaściach widok ujrzał srogi!
Spójrzak... Ni piersią tchu mu wchłonać w siebie,
Ni mu ogarnąć okiem nie wesołem,
Ni zgonić skrzydły tu i tam po Niebie
Straszliwej czerni walącej się dołem!

Tu słońce wstaje, tam ładów przestrzenie
Mrok czarny dławi. Tu cisza, tam grzmienie,
Rój, ryk, dreszcz srogi! Próżno gwałci skrzydła —
Wyżej — nad wyżej — próżno czołem prawie
Nieba dosięga; zawsze czerń przebrzydła
Ni się w mgłach topi, ani w słońcu znika. . . .
Król chmur raz pierwszy zląkł się przeciwnika,
Raz pierwszy pierś mu zadrżała obawie,
Skrzydła znużeniu, — zaczęm, trwożny, biegał
Przypaść do gniazda. —

Od strony nieznanej,
Kędy ku morzu ład się głazem zjechał:
— Stój! — Co to? — Opór! —
Jako żwir od ściany
Chrzęśło i pierzchło.

Dziwna ćma a chmara,
Aż straszno patrzeć! — Zda się, z krańców dali
Spędzona ludność, nim się na świat zwali,
Jedno przez drugie dławi się i para.

Jeden — a zda się sto ludów, — i zasię
Sto ludów znowu jakby jeden zda się.
Sto potęg w jedną szarańczę się zsiada,
I sto języków, w jeden okrzyk — biada!

Od kończyn świata zgraja w jedno zwiana:
Međ zgięty w pałak pod jarzmem tyrana,

Niewieście Baktry kosztowne odzieża,
Brat swego konia Arab ogorzały,
I czarne Maury co ku słońcu leżą.
Tu, chciwa łupu, jako drudzy chwały,
Gdzieś z za Kaukazu zgraja czerni dzikiej —
Tam Lyd pracowny, przemysłne Feniki.
Owdzie w lwich skórach Etyopy z lwiej dziczy,
Lud Ind miedziany w szacie bawełniczej,
Żyjące ścierwem Skyty — ród obrzydły,
I miękki Sabej przesiekły pachnidły.

Sto ludów w jednym! Grają w blask, jak w tęczy,
Rozliczne stroje, barwy lic, — a brzęczy,
Jakoby w ulu brzęczy znakomicie!

Sto ludów zgoła! — to jak gwiazd w błękitach,
Jak piasku w morzu. Jako wśród mrowiska,
Zewsząd się roi, dławi, prze i ściska.

Morzem a lądem ciągnie ciężka zgraja
Wielkiego Kyrpa państwo, — wielkie srodze,
Ciężko się wali! —

Przodem, jego wodze,
Możne Satrapy, Królewskie Paroby,
Szaty na sobie złotogłowe mają.
Włos mdły w dotknięciu, trefnemi sposoby
Z ramion im w kędzior zwity, — gładkie lica,

I dłoń ich miękka, jako dłoń kobięca.
Lśni z nich bogactwo niesłychane w cenie:
Sute łańcuchy z piersi, z rąk pierścienie,
Od uszu kolce. Z czapraków pod niemi,
Ze złotem dzianych rzędów ćmiących oczy,
Niech tylko rumak bystrzy skok wyskoczy,
Sieją się perły, i kapią po ziemi.

Nie widno króla. — Za to, przodem czerni,
Czterej Satrapy, giermkowie powierni,
Stapają dumnie, pyszni z łask szczerodroty.
Przez nich, na cugli wiedzion szczerozłotej,
Przebystry źrzebiec z stada Salomona,
Białe, aż ćmiaco — (złote ma strzemiona,
Szkarłatny czaprak, pióropusz z kamieni,
Z wzniosłego czoła krociem słońc promieni) —
Rwie się, żar zieje, żuciem plwa zajadłem,
I kędy przeszedł, skopał jakby radłem.
Boska to rosa! Na owym biegunie,
Przez świat się niegdyś ojciec Kyr przesunie
Z błyskiem w prawicy, przed którym truchlały
Łądy i morza; a gdzie chwilę spocznie,
Tęschny znów dalej na koń siaść bezzwłocznie,
Na głowach królów opierał sandały.
Gdy czuł już zbliżka ostateczną chwilę,
Król świata pragnął z sobą mieć w mogile
Wspólnika cudów; ztąd ten, co zwyczajnie
Deptał pod jego ciężarem narody,
I żyje wiecznie i jest wiecznie młody,

I tuż przy pańskim grobie miewa stajnię.
I tylko Parsów króle, gdy zechcecie
Wzorem praojca deptać świata kraje,
Wam jednym rumak dumny grzbiet podaje —
Bo tylko z niego wolno grzmieć po świecie!

Nie widno króla. . . — On w sutym namiecie,
Na białym słoniu rodem także z nieba,
Wśród fal wezglowi miękko się koleba,
Uczując raźnie. Skroń mu wieńczy kwiecie —
W dłoni mu puhar, — woń w koło Mocarza —
I miękka gędzba słodko go rozmarza.
Siedm Magów przy nim; — na to blask w ich głowie,
By to gadali tylko — co Pan powie.
Siedm Satrap przy, nim; — tyle w nich żywota,
Co Panu gwoli. Ćma dworzan, hołota,
Tłumem na klęczkach włóczy się, — szczęśliwa
Gdy Pan kość rzuci, lub lżąc przeżywa.
Na Panu bisior — szata bramowana —
Jakiej nie nosić nikomu, prócz Pana. —

Morzem a ładem ciągnie ciężka zgraja
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie zgoła,
Ciężko się wali! —

Jak zajrzysz, do koła,

Tabor a obóz. W wspólnie ze zwierzęty,
Służalców roje, niemniej dział swój maja:

Pieszy niewolnik pod ciężarem zgięty —
 Muł, juczny bronią, namioty i sprzęty —
 Tu, z rąk rozpustnej pacholków gawiedzi
 Rącze bieguny rwą się w pęd; w wóz wprzężon
 Bawół, syn puszczy, z brzemiony się biedzi, —
 Tam kupa ciurów, istny ród niedźwiedzi,
 Od wież i taran silne liny preżę,
 Inni prą z tyłu. Jedno drugie mija.
 Lik osłów jęczy pod razami kija,
 Opornie ciągnąc, — dromader dwugarby
 Wziął na się szatnie, naczynia i skarby.
 Słoń potwór srogi, i okręt pustyni
 Wielbłąd złamany, niemniej grzbiet podały:
 Ow dźwignął brzemię gędziebnych naczyni,
 Tamten Bajader lotnych poczet cały, —
 Łażnie — przybytki rozkoszy — haremy —
 Których trzebieniec, ni mąż, ni niewiasta,
 Rzezan z chłopięcia, pół głupi, pół niemy,
 Strzeże jak oka. — Z wrzawy śpiew urasta:
 Rącze Almeje, lubieżne Gazele,
 Brzmią świew pustyni brzęcząc w dzwonek wiele —
 W płas Babilonka wabi smukła w pasie —
 Wieją zaslony mgłą sennej przyrody —
 I zewsząd kadzidl woń, i zewsząd zasię
 Miętko, gędziebno... jakby to na gody.

Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
 Wielkiego Kyrą państwo, — wielkie srodze
 Ciężko się wali! —

Od strony nieznanej,
Kędy ku morzu ład się głazem wzdyma:
— Stój! — Co to? — Opór! —
Jako żwir od ściany,
Chrzęśło i prysło.

Goniec wichrem leci...
— Co to? — Król zagrmiał. On na twarz upada:
— Słońce słońce! — jaka — biada nam! oj biada!
Panie! tam — morze! —
Za nim drugi, trzeci,
Inni się w strony, inni wstecz rozbiega.

Każę Król przyzwać przedniego Paroba,
I lży go sprośnie jak się mu podoba.
Paroba swego król przywołać każe,
Skinie — i wnet go pochwyca Ceklarze.
I rzuca w ciemnie, jakby sprawcę złego.

Król gniewny srodze. — Cóż to? Mnie? Przeszkoda?..
Most rzucić? —

Skinał; — ztąd i ztąd, gromadnie
Roi się — trzaska; ztąd i ztąd głaz padnie —
Aż brzeg brzegowi niby rękę poda.

Abydos z Sestem schodzą się zdumieni —
Hellespont w jarznie targa się i pieni.

Siedm dni szli morzem, — siedm nocy szli morzem, —
Aż ósme słońce zaszło po za nimi.

A gdy jutrzienka wstała z licem hożem,
Już tylko w dali lekki opar dymi.
Lady a lady. —

Trak się krwią nie plami.
Uderzył czołem. Mir jemu. — Chodź z nami! —

Makedon dumny, — ciężka nań ta chwila!
Porwał się walczyć — więc kark w jarzmo schyla.
— Biada opornym! —

Mnogie ludy w trwodze,
Zdała i zbliska — z wysep i po drodze —
— Mir! Mir! — wołają, na twarz upadają.

Morzem a ładem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze,
Ciężko się wali! —

Od strony nieznanej,
Kędy bez brzegów zda się morze szczerze:
— Stój! — Co to? — Opór! —
Jako żwir od ściany,
Chrzęsto i pierzchło. —

Galera w galerę,
Bok w bok uderza, — wiosło wiosło płacze, —
Dławi się — chrupi — trzaska. Wały racze
Mściwie szamocą jarzmo. Z morskich wnętrzy,

Po przedzie, w szersz się ład zuchwalec piętrzy —
Ład w ząb, bez końca, — tylko u pizedgórza,
Na krańcu szczyt się błękitny wynurza.

Zjada się Kserkses — z ust mu pryska piana —
I zaklnie srogo w imię Arimana. . . .

— Hej! góra z drogi! Precz! —

Od ciosu człeka

Zadrzał ład stary, — w druzgi Boże dzieło!
Zawrzało grzmotnie — jękło — i bryznąło,
I wał się polał wierzchem. —

Król z daleka

Powiódł wzrok orli: — Rada, czy nie rada,
Krwawo nam trudy zapłaci Hellada! —

Morzem a ładem ciągnie ciężka zgraja
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze,
Ciężko się wali! —

W niemniej ciężkiej trwodze,

I ztąd i zowad — zdala i po drodze,
Ludy, jak jeden, na twarze padają —
Na twarze swoje padają jak dłudzy —
A łatwe jakoś — dziwne, to padanie. . . .
— Panie! — My twoi poddani i słudzy!
Tyś Pan nasz — ojciec! Co chcesz od nas Panie? —
— Ładów i morza! — ryczy wódz na czele.
— Ładów i morza! — wtórzy czerń; — a oni,
Jako gdy w ulu brzmiało w pośpiech dzwoni,

Gwarza przez chwilę, — i jak za rozkazem,
Z głów ukorzonych znów się pomost ściele:

— Łądy i morza — twoje! — z nami razem!
Mir! Mir! — wołają — na twarze padają.

Król dumnie kroczy — kręgiem puszcza oczy,
Gdzie wzrokiem padnie — k'myśli mu i składnie.

Morzem a ładem ciągnie ciężka zgraja
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze,
Ciężko się wali! —

Czerni się na drodze. . . .

Milczącym murem w poprzek się rozparła
Garstka Tessalów.

— Stójcie! — rykna mężę —
— Po śmierć ten sięga, kto zuchwale sięże
Po wolność Grecyi! —

Król się zaśmiał z gardła:

— Ho! ho! Helleny! — na twarz! Lub was zgniota
Mej ręki palce, jak pisklęta w pięści.
Czołem! Z lwem ludów bój się nie poszczęści!
Jam zwykł po głowach stapać! — Ja — piechoto
Przeszedłem morze, — górę przepłynąłem, —
I wszędzie deptałem — i podepcę wszędy. . . .
Mir wam! gdy śpiesznie uderzycie czołem,
Śmierć! — gdy nie chcecie! —

Jako grom, w te pędy:

— Nie, nie, śmierć raczej! — hukną Greki spolem,
— Nie, nie, śmierć raczej! — wtórza echa brzmiące...
Zaczem wódz sprawi szyk, — i z wierzchu wzgórza
Niebawem Greki spadną jako wściekli.
Sieką, grzmia, rąbią, wre jak z wichrem burza;
Świst, trzask, strach Boży, — bije pył pod słońce;
Srogo z tej strony, — srogo z tamtej strony;
Lecz próżno grzmieli, rąbali i siekli —
Zdławił ich ogrom. . . .

Król wznosił miecz skrwawiony:

— Tak będzie światu! —

Jak, ku ciężkiej biedzie,

Mknie groźnie, tańcząc na jednej swej nodze,
Wichr, po przed którym, ptacy w puch pierzchają —
Morzem a lądem ciągnie ciężką zgrają
Wielkiego Kyra państwo, — wielkie srodze
Ciężko się wali! —

Ztąd i ztąd, po przedzie,

Gońce — jastrzębie lecą z ostrą wrzawą,
Gońce — jastrzębie — na lewo — na prawo —
I poprzód siebie:

— Na twarz narodowie!

Pan idzie deptać karki swej czeladzi,
Jako jest laskaw. Bądźcież jemu radzi! . . .
W proch niewolniki! —

W ślad ich prnie się mrowie:

— Lądów i morza! — grzmi głos przewodniczy.

— Ładów i morza! — czerń rozjadła ryczy.

— Ładów i morza! — jak wielka Hellada

Gościnne echa wtórza okrzyk wraży. . . .

Zadrżj Hellado! — Nie drzeć któż się waży? . . .

W proch! w proch Hellado! — i któż w proch nie
pada?

Pobladło niebo ponad Grecyą jasną,

Ponad szczęśliwą. Jak gdy zwolna gasną

Niebieskie światła w zachodu krainie,

W ślad których, milcząc, mroczna ciemność płynie,

I chociaż niebo wygwieździ się wprędce,

Przecież się kończy żywot marnej jętce,

I już jej więcej nie oglądać, ani

Jutrzni różowej, ni blask dnia nie dla niej! . . .

Pobladło Niebo ponad Grecyą jasną,

Pociemniał dzień jej; — wskrós duszno a ciasno.

Od ostatecznych krańców widnokręga,

Żałobny całun coraz grubiej sięga —

Zamętu syny, posępnie a czarno,

Cienie na cienie walą się i garną —

Brzemienne gromem czarnych chmur nawały,

Obwisły ciężko, parno ociężały. . . .

Biadaż! oj biada wam Greckie narody!

Bo komuż, komuż doczekać pogody? . . .

Pobladło Niebo ponad Grecya jasna —
Trzeszczy w jej zrębach — śnadź wprędce roztrzasna.
Chmur czarnych tłumi — groźnych gromów miazga,
Obwisły ciężac nad ziemią Pelazga,
Tłoczą się, gniotac — aż duszno. Strach bladey,
Na drżących skrzydłach, leci wskrós Hellady,
A drży w mróz zimny — a leci piszczaco...
Belkoce głucho, — mgły się z mgłami maca,
Piata je wicher, chłona kęs po kęsie, —
Zgrzytając groźnie Erys wężmi trzęsie, —
Biadaż! oj biada!....

Jednak — dziw nad dziwy —
Kędyż Atene? — gdzież Ares krwi chciwy?...
Zbawiż Helladę srom, lub łzy niewieście?...
Bogowie możni! Kędyż wy jesteście?... —

PIEŚŃ DRUGA.

Lachezis.

Jedno nic — chwila — z wartkiej snów kadzieli
Wysnuta, nikłem życiem się weseli.
Lecz Chwila z chwilą zwolna pasmem stawa,
Aż z wątych nitek wzmocni się postawa,
Imieniem — Wieczność; Pan, na tej postawie,
Przerzuca watek, grzmiaco lub łaskawie.

Na niej, ku wdzięcznej ozdobie tkaniny,
Świetniami struny lśnią się czynów czyny;
Drugie się zerwą, — tych i czas nie przetnie.
Pan pyszny niemi, jako błyszczą świetnic,
Wybrane struny wiecznego przędziwa
Palcami tyka, i dźwięcznie wygrywa.

O Myśli Senna! życiodawcze jądro
W owocu wieków! ty Pańska wszechmadra
Moca, do życia w czasie powołana —
W tobie treść woli! tyś, za sprawą Pana,
Przejawów Boskich niestrudzona prządka —
U ciebie tylko szukać wspomnień wátka! —

W Delfach, jakoby w podziemnej pracowni,
Trzaskanie świata, loskot, ryk i grzmienie.
W otchłaniach wicher targa się szalenie,
Snadź w srogim gniewie Bogowie gwałtowni.
Dmie, jęczy, stęka i wyje szkaradnie —
Drży ziemia wszystka — zda się, w kęsy padnie.

Nie rzadko Greckiej ciężarnej niewieście,
Ni ztąd i zowad, porodu boleście —
Wije się w mękach — ażci znagła oto,
Rodzi się światu ohyda straszliwa.

W powietrzu duszno — oddychasz tęsknota,
A dziwne smutki pierś jak głazem gniota,
A dusza w człeku, jakby się wrywa.

I dniem a nocą równy strach. Z ukosa
Nocą się niebo krwawi, — w krwawej łunie,
Rój widm straszliwych złowieszczo się sunie,
Krwawych różg pęki smagają Niebiosą.
Z brzaskiem — z krwi wstaje dzień, i w krew zapada.
Południe — blade w trupi blask; z północą,
Wskroś ztąd i zowad błyski zamigoca,
I pchnięta z niebios leci gwiazda blada.

Drętwieje z grozy wszelka dusza żywa.
W powietrzu duszno — oddychasz tęschnota,
A dziwne smutki pierś jak głazem gniota,
A dusza w człeku, jakby się wyrывa. —

Po przed świątynią Delfu, po przed święta
Jak przybieżano, tak na twarz legnięto.
Pokotem upadł Grecyi lud przemnogi.
A duch w nich mdleje, — bo cóż, w zemście srogiej,
Przebłagać zdoła zagniewane Bogi?
A trwoga ciężka wzdyma im się łono,
A drżąc, czekają, co im naznaczono:
Czy śmierć straszliwą? — czy niewoli pęto?
Tysiącami rzeżą ofiary; w półkłęga
Objatne ognie wonnym dymem płoną,
Kapłany pieją hymny, kadzidl wstęga
Wieje w obłoki, rąbkiem niebios sięga —
Och! byle tylko Bóg polotnej strzały,
Byle się tylko losy zbłagać dały!
A tu drży ziemia jakby płocze liście. . . .

Zda się Hefaistos, kiedy zamaszycie
Kuje grom Ceusa z obuchem w prawicy —
Ztąd grzmia w kowadła kyklopsowie dzicy,
Tam z srogim zgrzytem leci pęd od miecha,
Echa głos połknał — głos połknęły echa.

W wyrocznych Delfach, jak w piekiel czeluści,
Zyje i huczy. Niby Orkus błady,
Jako się miota, zanim grom wypuści
Z rozpękłej góry. — Od ludów Hellady,
Wybrane posły, trzy już dni (rzecz sroga!)
W czuwaniu, w głodzie, leżą w proch obliczem.
I nie wstać posłom, bo nie pójść im z niczem,
Aż się o wyrok dopytają Boga.

Nie widno Wieszczy brzmiaćcego Młodzieńca —
Nie władna sobą. Straszny szal, dziewicę,
To w żar, to w wodę miota, — skrzywia lice,
Kurczy jej członki i wnętrzości skręca.
Trzy dni, trzy nocy, by zdeptana żmija,
Nie pewna życia, w boleściach się zwija.

Czekają posły. Znała huk przez ścianę...
Na dwoje pęka przybytku zasłona —
Buchnęło kłębem... ażci oto ona.
Z rozpierschłym włosem, — szaty w wiatr, — stargane
Przepaski święte, — w piersi rana krwawa
Jedna i druga, — twarz straszliwie sina, —
Zółto-spieniona ust się czepia ślina, —

Pracuje piersią, i tchu jej nie stawa; —
Spokojnie niby siedzi, — jednak błędnie
Zatacza okiem, — a oko, tak prawie,
Jakby mu długo nie wytrwać w oprawie, —
A usta sine, jako mak gdy zwiędnie.
I rusza niemi jakby mimo woli
Szemrze coś, czego nie zachwyci ucho —
To znów się skrzywi, to znów jęknie głucho;
To drgnie, jak człowiek gdy go wskrós zaboli,
Znagła się zerwie, pieni się jej warga,
Pierś pięścią tłucze, paznogćmi rozdziera,
Jak opętana tu i tam się targa,
Rwie włos, rwie szaty, i jako pantera
Pręży się, zwija — aż jej w kości trzaska.
Snadź Bóg, co strzałę daleką wypuszcza,
Wstąpił w kapłankę.

W trwodze ludu tłuszcza:

Co im obwieści? — biadaż im? — czy łaska? —

Ucichło chwilę. Wraz jej zadrża wargi:
— O biada! — jęknie. — Biada? co? co? biada? —
Z ust do ust leci smutne słowo skargi. —
Jej tchu brak w łonie. Twarzą w proch upada,
Tarza się, wije. — Biada? co? co? biada? —
Powtarza każdy, i zdrętwiały trwogą
Mniema źle słyszeć; i nie ma nikogo,
Coby nie zadrżał. Naraz w ciszy głuchej,
Zasłyszysz łacno brzęk lecącej muchy;

Bo znów kapłanka zrywa się złowrogo.
Więc jak kto może powstrzymuje dreszcze,
By w pierś z tchem razem wchłonać słowo wieszczce.
— Biada ci Grecyo! — zcicha zaszeleszcze —
Wszystko stracone!... Jak gromem rażeni,
Choć śmierć w ich duszy, słuchacze, nie mogą
Chciwego ucha odjąć wieszczby słowu,
Mysząc: iż chyba jest ratunek jeszcze.
Kapłanka milczy, łaknie tchu, w tem znowu:
— Jedno was zbawi! — Słuchajcie Helleni —
Zbawić was może... — Znów w niej skrzepnie
dusza —
— Zbawi was tylko... — Tu znów pierś wysili,
Lecz tylko usta rusza — próżno rusza!
Dźwięk, gdzieś daleko! Znów się rwie, po chwili
Jeszcze coś szepcze, w tem bez tchu upada,
Przeto iż sił jej zbrakło.

Tłuszcza blada

Stoi dech tłumiając, cała w słuch swój wryta —
Podani naprzód, trawieni tęsknota,
Pragną i łakną by co znów schwyтали —
Otworem usta, a wzrok im się pali,
Zda się, duch wszystkim oczyma ich czyta:
— Co? Co nas zbawi? — cóż więcej? — co dalej? —
Gdzie nam zbawienie? — gdzie? — O, patrzcie oto,
Snadź jest w dziewicy duch nad śmierć zawziętszy,
Bo znów się budzi, i jak kiedy z wnętrzy
Podziemnych pieczar praca grzmi straszliwa,
Tak ona mowę swą wypracowywa:

— „Mężę! — Moc Boża głos jej w usta kładzie —
W murze drewnianym zbawienie Hella-
dzie!“

Zaczem się chwieje, czepia ścian, ołtarza,
Lecz sił pozbywszy pada wznak, i zcicha
Rzęży śmiertelnie, stygnie, ciężko dycha,
Zda się — skra życia już się w niej dożarza.
Patrzy nie widząc zeszkłona źrzenica,
Znój zimnych kropli przymarł do jej lica.
Wynieść kapłankę śpieszą ofiarnicy.
By nie skołała w przybytku świątnicy.

Umilkło, — cisza. Wszerz, jak skrzydeł wianiem,
Tchnienie od słowa wyroczej powieści,
Tajemniczemi powiewy szczęści.
Wysłańcy ludów, starców grono, za niem
Kapłanów garstka, tłumem lud prostaczy,
Niemi, jak wryci w głaz, bez żadnej zmiany
W licach swych, drżący, bledzi w bladeść trupią, —
Jedni do drugich garną się i kupią:
— Co? — mur drewniany? — Cóż jest mur dre-
wniany?
Co to ma znaczyć? — Dziwnie! — Cóż to znaczy? —
Wbrew przeciw sobie stawa na przemiany:
Rozpacz — otusze, otucha — rozpaczy. —

Gdzieś u Koryntu gwar... starszizny grono,
W zbor Amfiktyonów mądrych zjednoczono.

W garstce maleńkiej roi się jak w dużej,
Dłoń służy dłoni, głowa głowie służy.

A jako, w piękny poranek wiosnowy,
Po barwnych zielach woniejących świeżo,
Pracowne pszczoły rojem się rozbieżą:
Ta rosę pije, ta od nóg i głowy
Kulkę urabia, tamta pyłek zgarnia,
Ta z brzękiem niesie, tamta wzięść pośpiesza,
To w ul, to z ula brzęcząc skrzętna rzesza,
A każda znosi, każda coś dodawa,
Że zda się tobie czary, cudu sprawa,
Jako w twych oczach wzdyma się śpizarnia:
Patoka płynna, kanar wonnej cnoty,
Toż wosk uległy w przegrodzeń misterstwo,
Zkąd więc pożytek, zkąd, w jesienne sloty,
Mieć wszystkim starość niegłodną i czerstwą; —
Tak w radnem kole godza mądrość z władzą,
By był pożytek z tego co uradza.

A jak gdy w gniazdku, jaskułce ptaszynie,
Swawolne chłopię wybiera pisklęta,
Ona rozpacza, trwoga, bólem zdjęta,
Lata bez wiedzy — zda się z żalu ginie.
Podczas gdy liście barwi jasność złota,
Jej serce w piersi zamiera, trzepota
Skrzydły, bolesne dając wykrzykanie,
I nie wie rady, bo czy pozostanie
Przy dzieciach lubych, czy odbieży dzieci —

Jednako zginą! Rozpacznie przypada,
I, to odleci, to znowu przyleci,
Nie wiedząc rady, wie tylko — że biada; —
Tak wodze ludów, mają trud nad trudy,
Watpliwi środków a pewni rozpaczy,
Czego się chwycą? — co zniechają raczej?
Coi następnie działać im? — co wprzód? —

Zwa co znaczniejsze: radą, cnotą, siłą —
Też wywołańcom posłano przyzowy.
Przybył Arystyd prawy maż — przybyło
Wiele i drugich. Rada — działem głowy,
Głowa — rzad ciała; a lud — członki ciała
Drżąc, oczekują, co więc Rada zdziała.

Ha! Co tu robić? — Od gór, jak z kratera,
Nabrzmiały chmury, groźnie grom w nich wzbiera —
Grom — śmierć lub jarzmo! Ciężkie ludu zgraje
Tak ciężkie w liczbie, iż się sen być zdaje!
Wala się, wala. Nie zna wódz przeszkody:
Tam ład przepłynął, tam przestąpił wody.
Powolnych sobie zbył milczeniem wzgardy,
Opornych sobie zgniótł i stapał dalej.
Makedon dumny i Hellespont hardy
Społem dźwigają jarzmo. Chciał — i oto,
Przez górę morski bałwan się przewali,
By przejść galerom. — Hej! ludy Hellady!
Czołem! — wódz woła. — Czas ci Grecka cnoto

Byśmy zaległą rozegrali sprawę.
Ho! czy widzicie wczorajsi zwycięzce
Jak w grobie Daryusz przewraca się blady?
Jak krocie padłych w Maratonu klęsce
Wołają pomsty? W ich imieniu oto
Jam się dziś wybrał spłacić długi krwawe
W miarę i w nadmiar! — Za nim czerń rozjadła,
Rzekłbyś, iż dziatwa grzmiących piekieł stadła,
Rzekłbyś, iż właśnie jedni drugich zgniota.
Ryk — trzask — a groza!

Jako gdy w pustyni,
Szlakiem, gdzie piasek w przymierzu z spiekota,
Wędrowni ciągną czarnych lic Etiopy —
Znagła się niebo zmąci, w mgłę zasini,
Znagła im wicher zerwie się z pod stopy,
Z krzykiem ucieka struś i gazell stada,
Trwożnie gdzieś w dali grzmi lud... Alić biada!
Wraz w koło płonie, w kłęby piekłem bucha,
Zatyka oddech zionąc żar, z otchłani
Ruchome piaski wzbija w pył, — zbłąkani,
Tchem biorąc w piersi śmierć, niepewni ducha,
Napróżno twarzą do ziemi przypadną,
Modlą się, bluźnią, — jęk ich coraz cichszy,
Wreszcie — umilkło. Chwilę jeszcze wicherzy,
Aż zwolna zwieje, to w stronę, to na dno.
I oto wszędy śmierć i zgroza blada!
Dniem, sępa tylko zwabi zapach zgniły —
Nocą się sproсна hiena milczkiem skrada —

I z resztą, pusto, jakby wśród mogiły.
Bo ani zwierzu zasypana studnie
Znać w upragnieniu, ani cień w południe;
Bo nawet palma trafem oszczędzona,
Kiedy się zwolna obejrzy do koła,
W osamotnieniu wyżyć już nie zdoła,
I śmierć w swej piersi czując zanim skona,
Zwęgląłem liściem dawać cień przestanie.

Tak więc jak owa w pustyni zagłada
Zamorski tuman zrywa się i spada,
A kędy spadnie, ciężkie to spadanie!
Z burzliwym rykiem, dzika niepogoda
Stopami swemi depce, co się podą;
Druzgocze miasta, wsiąka ludy. Siola,
Święcone gaje, których grom nie zniszczy,
Świątynie Bogów (rzecz nad wiarę zgoła!)
Dłoń świętokradcza ku chwale Ormuzda
Płomieńmi chłonie! I tak, kupą zgłiszczy,
Jak orle oko z chmur zasięgnąć zdoła,
Środkiem się Grecyi znaczy krwawa bruzda.

Ha! a wyrokiż? — Myśl ich któż odgadnie?
„W murze drewnianym — zbawienie Hellady —“
— Cóż mur drewniany? — Ciemno! — W słów
wykłady

Zapadł lud wszystek, z nim grono obradnie,
Lecz tym, jak owym, ni trafno, ni składnie.

Radzą, a gwarzą. Tuman... ho! w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerwanemi słowy:

— O Ojce ludów! Z Pindu, gór olbrzyma,
Kraj, co się stromym Arakintem wzdyma,
Lud, co mu w pasie Achelój, lud owy
Z Persy — jak z bracią!... —

Grom! W ciszy grobowej

Zda się, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Dumają, milcząc. Tuman znów..., w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerwanemi słowy:

— O Ojce ludów! Lokry, lud niżowy,
I ci co z prawej, i co z lewej strony,
I co z Naubaktu patrzą w nurt zielony,
I co z Termopil wazkich w kres daleki,
Lud to... Ojcowie! przeklon im na wieki!
Lud — niewolników!... —

Cios! W ciszy grobowej

Rzekłbyś, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Milczą, w dół patrząc. Znów tuman..., w tumanie
Jeździec — cień blady. Wraz przypadnie, stanie,
Tchu łaknie, jąka przerywane słowo:

— O Ojce ludów! Biadaż nam, a zdrada!
Magnety brzeżne — Ftyja, ziemia żyzna —
Lud klinem krągłym co w morze zapada —
Srom, srom Helladzie, iż się Grekami zową!

Lud to nie naszy! — Ich cześć i ojczyzna
Tam — kedy przemoc!... —

Do ciosów, cios nowy.

Rzekłbyś, iż wszystkim zbrakło tchu i mowy.

Zblednieli, milczą. Znów tuman... w tumanie
Jeździec — cień błady. Wraz przypadnie, stanie:
— O Ojce ludów! — jaka przerywanie —
Ród wiarołomców — Beoty, Tebanie,
I władać Grecyą naród zdawna chciwy,
Pasierbie serca — złośliwe Argiwy —
Służalce Persom!... —

Do ciosów, cios nowy!

Rzekłbyś, już w końcu nie stało i mowy.

I jako niegdyś z puszek Pandorowej:
Goniec za gońcem, tuman za tumanem,
Kłęska za kłęską! Tedy starsze władza
Szaty rozedra, padną w proch zalanem
Łzami obliczem, piersi jęk wydadzą:
— Biada od wroga! Srom od bratniej zmiany!...
O Bogi Grecyi! Cóż jest mur drewniany? —

Wstał Temistokles, dłoń w potrzebach sprawna,
Postawa słuszna, twarz tęszna a blada,
Mąż silnej cnoty, — już to zdawien dawna
Spać mu nie daje zwycięztwo Miltiada.
Gdy wstał bohater, lud, starsi, wodzowie,
Zważają pilnie, co też on im powie.

— O wodze ślepych! — tak on do nich prawi —
O! sami ślepi w nadmiar wszelkiej rzeczy!
Próżno i radza Bogowie łaskawi,
Gdy im nie w pomoc mądry przemysł czleczy.
Powiem, coć jasno, — niech mi, kto chce, przeczy:
Galer szyk gęsty jestci murem z drzewa —
Bo jako wał jest przedpiersiem warowni,
Który gdy mocen, niech wróg najgwałtowniej
Chce twierdzy, stratę z wstydem tylko miewa,
Tak i moc morska, lądom w krąg zasłona,
Z pomocą Bogów, zbawienia dokona.
Bo tak się ludom przymorskim nadało,
Bo tak nam tylko z chwałą wyjść i cało.

Wy tedy Grecy zróbcie tak: dostatek
Wszelki, i zbytek wszelki, wraz z garstkami
Starców i niewiast, niemocnych i dziątek,
Złóćcie w Trezenie, w Eginie, w Salami,
Pod świętą Bogów dając straż; a sami
Radzi porzucicie miasto Bogom mile,
Bo w gruzach jego najdzie wróg moglię.
To uczyniwszy, niech wśród gór co naglej
Tobór odwieczne dęby w pomost ścina,
By w pogotowiu, sposobna godzina
Zastała u nas galer choćby trzysta,
I tyleż tkanych dłońmi niewiast żagli.

Owa tymczasem Perska ćma rzęsista
Gdy się na dobre pośród nas rozsiądzie, —

Razem, od morskich głębin i na lądzie
Serdecznie wzięta w dwoje twardych kleszczy.
Wierzcie mi — tylko westchnie i zatrzeszczy,
I runie w miazgę. — Tylko, ludu miły!
Tylko, gdy chcecie mieć nad wrogiem władzę,
Wprzód nad samemi sobą mieć ją radzę:
A tą jest zbroja z wiary w własne siły.
W niej to człek walczy jakby z po za wału,
I sam nie sięgnion wytraca pomalu,
Cierpliwie, długo, — ale aż wytraci.
Tak skoro zrobisz dzielna garstko braci,
Wróg mając liczbę, siłę i przestrzenie,
Mieć będzie klęskę, grób i zawstydzenie,
A na tym grobie śmiała stopą stawa
Miłość Ojczyzny i wolności sprawa. —

Skończył; a oni milczę wskrós zdumieli.
Wraz gwar, jak w liściach, gdy wiatr dmuchnie
świeżo —

I jedni wątpią, a drudzy nie wierzą,
Ci wierzą znowu, leczby wątpić chcieli.
A wszystkim dziwno jako prawil mądrze —
Zda się Atene z jego ust, bo skądże
Własnym przemysłem w czleku mądra rada?
Gdy się tak każdy nie wie k'czemu skłania,
W tem zagrzmi z prawej. Snadź, co gromem włada
Ceus, dobrą wróżbą chciał dać kres wahanja.
Zaczem poznali, iż prawil wyrocznie,
I sławić męża zgodnie każdy pocznie.

Ha! a tymczasem. czyliż marnie zginie
W plugawem najściu, w gruzach i w perzynie,
Tyle sió!ł, grodów? A Bogów świątynie?
A Bogów miasto? Samże się ostanie
Ów kunszt misterny — wieków budowanie?
I matka ludów, matka serc, — Hellada,
Wrógże ja porwie, pogwałci, sposiada?
Wrógże podepcze to, co Bogów stopa,
A lud czią serca poświęcił od wieka?
Cóż rzeka drudzy, cóż przyszłość daleka?
Cóż sam wróg wreszcie, gdy się krwie nażłopa,
Gdy nie gaszone zgliszczą same zgasną?
Dziatwie na łupże wydać matkę własną? . . .
O! zradnej dziatwie takiej zginać zradnie!
Lud, pasierb matce, w nędzną śmierć przepadnie
W łzach znajdzie niemoc, znajdzie grób w rozpaczy,
I jak tłał marnie — tak i marnie zgaśnie! —

Nie tu czas radzić, ale działać raczej. . . .
Wstał wódz, i ryknął, aż zagrzmiało właśnie —
(Król dzielnej Sparty, mąż dziwnie wspaniały):
— Ha! kto chce zginać — by nie uszedł chwały?
Kto ze mną bracia ku Matki obronie?
Kto, rad nie uciec? . . . —

Wraz się szmer rozwionie. . . .

Wstał tłum młołjców uśmiechniętych szczerze —
Sama to młódź spartańska tak się mrowi —
A wszyscy dzielni, i poledz gotowi;

Z tych ku potrzebie trzystu wódz wybierze.
Lecz jak tu wybrać? Zewsząd zgiełk się wzmaga —
Kogóż z nich wybór przyjmie lub odeprze?
Wszyscy dąb w dęba, w odwagę odwaga,
I wszyscy równie — ni gorsze, ni lepsze!
Zaczem, w los ciągnąć, wódz się słusznie skłania —
I oto — trzysta! I oto — w godzinie:
Ci z gardł radosne dają wykrzykania,
Owi zaś smutni, iż ich cześć ominie.
Z temi więc swemi, przykładem a władzą,
Poczi Leonid ziemię ukochaną:
Wpoprzek Termopil wązkich klinem stana,
I zgina sławni — a Matki nie dadzą. —

W Sparcie społeczne robia gotowania,
A nie znać żalu, ani łez, ni łkania,
Choć mężom walczyć, poki krwie im starczy.
Ni z tarczą wróca, ani też na tarczy,
Idzie bo każdy — by legł, jako żyje...
Królowi młoda wieszka się u szyje
Małżonka luba, bardzo gładkiej twarzy:
— O Panie! — mówi — cóż mnie odtąd samej? —
Tej król: — Proś Niebo, niech ci męża zdarzy,
Coby był godzien wziąć cię żoną po mnie. —
Ona w dół patrzy, rumieni się sromnie,
Bo lza w jej oku, w duszy żal bez tamy...

W Sparcie społeczne robia gotowania,
A nie znać żalu, ani łez, ni łkania,

Choć mężom walczyć, póki krwie im starczy.
Ni z tarczą wróca, ani też na tarczy,
Idą bo właśnie — by legli w mogile. . . .
Więc jako idą, by nałożyć głowę,
Naród im wszystkim da cześć pogrzebową.
Szło matek trzysta, i żon drugieź tyle,
Za tem lud mnogi. Kapłani, koleja,
To ci, to owi, żałobliwie pieją —
A gdy już spełnion obrzęd, jak przystało,
Czas uciesznemi zapełnią igrzyski,
By równie godnie miał się duch, jak ciało,
W cześć bohaterom, których koniec bliski.

I oto — poszli. Oręż w blask im strzeli —
Już są daleko — już dalej — po chwili
Zmniejszyli — w mgłę się topiąc, poszarzeli —
Aż znikli wcale, jakby już nie byli.
Niewiasty k'mężom śnieżne rabki chwieją,
I każda w duszy żegna się z nadzieją.

O! Bogi z wami Mężę zacnej dłoni!
Mężę nad mężę! Zbawce wy — jak oni
Półbodzy Ojce, co przez czyn zuchwały,
Z pożytkiem ludzkim nabywali chwały.
Cześć wam! Wiek przyjdzie, iż więc zwątpią, czyli
Możnem być temu, coście wy zrobili!

O! Bogi z wami Mężę zacnej dłoni,
Przedziwne męstwem, — świat się wam pokłoni!

Zwleczenie ciała, by duch wziął lot ptaka —
Jak wam przesławni, oby nam śmierć taka!
Z wami myśl nasza, z wami dusza nasza,
I serc modlitwa, co się w Niebo wznasza.

O! Bogi z wami ręce zacnej dłoni!
Pył ziemi własnej — on — gdy czas wam do niej,
On was, jak ojciec, obsypie, pogrzebie,
A po nad wasze mogiły, sam z siebie,
Wawrzyn, w cześć cicha, sławy liść przekłoni. . . .
O! Pokój z wami ręce bratniej dłoni! —

PIEŚŃ TRZECIA.

Atropos.

Mocy ostrz świetnych, co nigdy nie zmyła,
Śmierci przeważna! Ty, obecna chwila,
Co tętno nowe, co błysk oka nowy,
Tniesz wieczność Pańska wiecznie w dwie połowy:
Przeszłość i Przyszłość — ściśle równe obie,
I nie ma wiedzy, tylko w jednej tobie.

Wszakże, o Wiedźmo Wiedzy! Wiedźm Królowo!
Jakież u ciebie dopyta się słowo?
Umarł, kto wiedzy skosztował, i znowu
Kto umarł, ucha dał Wiecznemu Słowu. . . .

Któż wie: w kolebce gróbli? czy się właśnie
Rodzi dopiero, kto snem wiecznym zaśnie? . . .

Aniele marzeń, z licem bardzo bladym,
Niby miesięczne lica! twoim śladem,
Milczący orszak, przez kraje dumania,
Cichym powiewem w mgłę się mlecznej ślania,
I ciągnie senno, aż zaciągnie w smugi
Niebo, od jednej strony aż ku drugiej.

O Mocy ciemna! toż dłoń twoja lewa,
W noc na powieki senny mak wysiewa.
By, gdy człek chwilę w pracy swej ustanie,
Miał choć przedwstępne Wiedzy skosztowanie,
Niby zwierciadło, gdzie w mglistym oblędzie
Trwa co już było, lub dopiero będzie.

Mocy spokojna! dziwneż twoje sprawy!
Z snem wieszczym w lewej, wiedzą w dłoni prawej,
Sen śmierci robisz podobnym, i razem
Śmierć, snu błogiego przedstawiasz obrazem —
By snadź, nim duch się z ciałem nie rozklei,
Nie zginać człeku z żalu lub nadziei.

O! w noc półświatlna, gdy woń tęszna dyszy
Uśpione życie, gdy wśród sennej ciszy
W otchłaniach gwiazdy migotnie się maca,
Iż Pan je tyka wygrywając brzmiało —

O! daj mnie wtedy, Mocy z nad Otchłani!
Daj być w i d z a c y m — jako są wybrani.

Choć raz, choć jeden! Niech mi na wyzwanie,
Co łą wyteschnię, życiem w oczach stanie.
Niech mnie — w tę chwilę świętą, uroczystą,
Samemu tylko Pańskim być Lutnista —
I choćby potem znów mi wiecznie ciemno!
I choćby zginać wiedzy mej wraz ze mną!

Stanęli męże, jako wrzeczadz mocy,
Jako zasuwą zarazem i klamka;
A zaś Termopil cieśń, jak klucz do zamka —
Do piersi mężnych; za tym, lud sierocy,
Swój wszystkim schował skarb, najdroższe miano —
Ziemię praojców, matkę ukochaną.

Noc. Ciszą głucha. Wpoprzek, tajemnicza
Rzeka, nim w wieczność fale swe przepędzi,
Gra — skrzy się — mierzchnie. Z po za wzgórz kra-
wędzi,
Dźwiga się miesiąc pełnego oblicza,
A dołem ciemno; — tylko z legowiska
Persów, blask ogni drżących krwią przeblyska:
Im bledszy miesiąc, tem w dole czerwieniej.
I cisza wszędzie, tylko czasem z cieni
Ozwie się czata jak przez sen, znów zcichło,
I znów przeciągle ozwie się, aż rychło

Zamarł dźwięk, zmierzchły płomieni widziadła,
I rozmarzona głusza, martwo padła
Na snu posłanie. Od krańca, gdzie skośnie
Żwir gwiazd, wskróś niebios, płynie drżąca rzeka,
Waży się miesiąc, pełnych lic, daleko
Po za topiele światła, cień wtopliwy
Kładzie się, nurza, to znów wzbiera, rośnie,
Lub w pól przecięty gra jak powiew niwy.

Zciemniało. Trwożnie liść o liść potraca.
Od bratnich szlaków gwiazda promieniująca,
Rabkiem z mgły śnieżnej, z której światło tryska,
Wiejac ślad przejścia przez modre pustynie,
Bieży po drżącym promieniu miesiąca;
Zrazu gdzieś w dali — bliżej — aż i zbliśka —
Ponad namiotem króla smugiem spłynie —
Była . . . i już jej nie ma.

Król, wznak ciała,
Wśród wezglówianych puchów ma swą ciszę,
Zaczem duch jego miękko się kołysze,
Snem, a niemocą. Z podniebia, wspaniała
Lampa z kryształu o wonnej oliwie,
W barwy wzorzystych makat strzela żywie.
I z naczyń woni, z sennych smug, mgła blada.
Przesnuwa kłęby, warstwami uklada
W poprzecznych płaszczyzn pasma. Król, w znak
ciała,

Wśród wezglówianych puchów miękko tonie;
Rozognion wszystek, a skroń jego pała —
Tłucze się serce w niespokojnem łonie,
I znój na czele, jak gdy zamróz łzawy,
Jesienna rosa skropi szklanne szyby.
Ciężkie widzenie widzi król, w śnie niby,
We śnie, a właśnie jakby pośród jawy.
Zerduszt mu prorok w własnej swej osobie
Stanie przed oczy. Grzmiący miecz z płomieni
Ma w dłoniach obu, ważąc w strony obie;
A w ciemną przyszłość utkwiał wzrok sokoli.
Aż naraz miecz się w drżącą wagę zmieni:
Na jednej szali, wszystkiej Greckiej doli
Dział, a na drugiej — Perskiej. W tem, dział wraży
Pojdzie ku górze, a Perski przeważy.
Lecz ciężąc dziwnie, zapada w otchłanie,
Kedy ma ciemny Ariman mieszkanie —
A Grecyi dola — ku niebu — do góry —
— Ha! — . . . W skok się ocknął, przetaił wzrok,
wokoło
Spojrzał — w śnie wszystko; tylko w wschodniej
stronie,
Mgławo coś pierzchnie, zaćmi i rozwionie,
Jak się i pyłem rozwiął sen ponury.
Porwał się, usiadł, dłońmi potarł czoło,
Zadrzał, i duma — ból mu serce schwyci.
Duma — a sen mu jakby w oczach właśnie,
Duma, i tęschno duma. Razem w dłonie
Kłaśnie, i znowu w białe dłonie kłaśnie.

W bocznej komnacie, tuż, w ksiąg zwoje wryci,
Mędrce, snem gardząc, karmią myśl niesytą —
Pierzchła zasłona — wchodzi — na twarz zbladła
Padają drżący. Tym król, w zwięzłym słowie,
Sen przepowiedczy, jako był, opowie.
Skończył — ci milczą, jakby w głąz ich wryto.
Alić po chwili: — O Prawdy Żwierciadło! —
Rzeknie królowi Mag nad drugie Magi:
— Skoro tak każesz, słuchaj prawdy nagiej:
Nam, cośmy z podłej urobieni gliny,
Sen jest wspomnieniem, albo przepowiednią,
Tego co będzie, lub było poprzednio —
Lecz wam, Wybrańcy, coście światła syny,
Wam duch istnieniem, nie zmysł — glina krucha,
Wam jak i jawa, sen — jest woła Ducha.
Cóż ci rzec więcej, królu po nad króle!
Ma Ormuzd, władca świetlistej krainy,
Jak ty, u stóp swych ludną z gwiazd półkulę —
U skroni wiecznie w wian się splatające
Raz ogień — słońce, to znów jasność — słońce —
A w twardej dłoni, rozgłośny po świecie
Grom, którym kiedyś Arymana zgniecie —
Królu! Tyś dziedzie Ormuzdowej chwały!
Tyś jak on świetlny, jak on doskonały,
Potężny, wielki, wieczny nieskończenie —
Nie tobie krańce, ani też przestrzenie,
Twa moc — Moc Boża. Niech i w otchłań sięga,
Wszakci i otchłań w krańcach niebokręga!
Oto, co jawnie, niby snu osnowa,

Mówią twej chwale przepowiedni słowa. —
 — Dosyć! — Odeszli. Głowę król na łono
 Skłoni, i brodę gładzi utrefiona,
 I bujne sploty, jako mu opadły,
 Bez wiedzy garnie z ponad skroni zbladłej,
 I oddan sobie ciężko się zamilczy.
 Biegły wykładca właśnie w myśl mu czyta,
 Wszakże, z kąd Panu trwoga niepozbyta,
 Niby szpon sępi, lub zab niby wilczy,
 Tkwi w głębi piersi, i ani jej wyprze?
 Wstał, i szeroko chodzi po namiecie,
 Sam nie wie o tem, że mówi, a przecie,
 Mówi sam z sobą słowa nad wiatr szybsze.
 Być dobrej myśli próżno sobie tuszy,
 Zwatpienie cierniem uwięzło mu w duszy.

Słońce, w blask dniowy, przez zroszone liście,
 Na świat splakany strzela promieniście,
 I z łez gra tęcza — iż się właśnie zdawa
 Smutek ucieszny, albo radość łzawa.
 Królowi rumak przywiedzion. Król zprędką
 Siadł, leje pochwyił, a źrziebiec łakomie
 Sadzi się, wspina, w rączy bieg mu chętką.
 Tak gdy igrzysko biegu w Hippodromie —
 Mąż tuż za mężem migając przelata,
 Że tylko wiewna polatuje szata.
 A beczynnego, patrząc, żądza bierze,
 Pchnąć się, gdzie pędzą biegowe szermierze —

Serce — młot w piersi, tchnienia łakną płuca,
A duch powściągan ciężko się zasmuca.

Król, dłoń ku czolu mając od promieni,
Dalekowiednie patrzy w przestrzeń zbladła,
I w oczach jemu dziwnie bo się mieni!
Dał zda się bliską, bliskość zaś odległą.
W sinej mgle kędyś kilka wzgórz osiadło,
Z sinej mgły dalej kilka brył wybiegło,
Aż garb się z garby, głaz ku głazom zbliży,
I coraz wyżej — i wyżej — i wyżej,
Gdzie łądy, borów gniecione odzieża,
Dźwignięte z otchłań, dumnie w grzbiet się jeża,
Tam nagłym ciosem pękło w samym ścięgnię;
Ztąd w strony obie rozskoczą się szczyty,
A każdy z wierzchów, zda się, w niebo wbity,
A jar w pośrodku, zda się, w piekło sięgnie.
Bo każdy z wierzchów, okiem nie dościgły,
Gdzieś — w chmurach — ugrzęźł skreconemi igły.
Bo jar skrajany węzem przez wierzchoły,
By gardło piekieł, połknął dzień wesoly.
Toć wrota Grecyi . . . a zaś za wrotyma
Jest Grecka wolność. Lub jest . . . lub jej niema. . . —
Ha! Cóż tam widno? Cóż z czarnej gardzieli
Kiedy niekiedy w blask pod słońce strzeli?
To męże Sparty, jako wrzeciędz mocy,
Jako zasuwa zarazem, i klamka —
A zaś Termopil cieśń, jak klucz do zamka,
Za którym zamkiem, Grecki lud sierocy

Swój wszystek chowa skarb, najdroższe miano —
Ziemie praojców, Matkę ukochaną. . . .

Król patrzy zbladły, i dusza w nim gniewna.
Nie jar to zwykły, ni też mur to z drewna,
Ni góra z piasku którą on przekopa,
Ni otchłań z wody którą on przesypie!

Stopa, co przejść tam zdoła, taka stopa,
Lub . . . sprawi stypę, lub . . . utknie na stypie.

Zwie król posłańca, i tak go zagai:
— Tak rzecz królowi od Spartańskiej zgrai:
„Lichać ich garstka — a moc u mnie, w dłoni.
Pośle moc na nich — zwalczą. Drugą pośle —
Ha! i tę jeszcze zdławia może oni.
Wtedy — znów inną (bo na głos mój, władza,
Jako z przyciętych prętów latorośle,
Z mnogości życia, w mnogość się odradza) --
Lecz pewien jestem, gdy przydzie ta siła,
Już i nie znajdzie z kimby powalczyła.
Przeto niebawiac, nim trzy dni ubiega,
Król dumnej garści niech się mnie pokłoni —
To, z jego strony, a w zamian, zapłata,
Oto, co jemu, jakem żyw, dam za to:
Pierścień królewski dam na palce jego,
Szkarłat na barki i łańcuch na piersi.
I, by był cześci syt, jak zwyczaj każe,

Pokłon mu dadzą władce co najpierwsi, —
Bo on na całym Greckich ziem obszarze,
Władarzem będzie nad wszystkie władarze.
Tak mówię jemu ja król, w mej osobie,
Móglbym z niem zrobić cobym sam chciał weale,
Móglbym go zmiażdżyć, lecz lepiej ocalę,
Bom go, iż mężny, ulubował sobie.“ —

Posła swojego czeka król w namiocie.
Poseł się sprawi, i wraca niezwłocznie.
— Cóż? — On padł na twarz i trwożny tak pocznie:
— O królu królów! nie tak jest jak chcecie.
Duch krzepki w Grekach! Duch — za moc im stanie.
Wojskocto wodzów samych! Słuchaj Panie,
Tak mówi tobie Sparty król, mał prawy:
„Nie chcę panować za cenę niesławy,
Grek mieczem tylko, jeśli chce nabywa.“ —

Rozje się Kserkses ubodzon do żywa,
I mieczem zmiecie łeb z wiernego sługi.

Z królewskiem słowem wrędcę posłan drugi:
— Niech się wódz Grecki podda mnie w tej chwili,
A jesz cze dam mu o czém i nie marzy —
Władarzem będzie nad resztą Władarzy,
I kto żyw tylko przed nim kark pochyli. —

Zbywszy się poseł wrócić omieszkawa,
Bo król Spartański, (nie łatwa z nim sprawa!)

Nie chce jak nie chciał. Zbladłej na śmierć twarzy,
Dreńczony dreszczem od stóp aż do głowy,
Wlecze się zwolna, zyskać chcąc na czasie. . . .
Wreszcie padł na twarz, z strachu konać zda się:
— O królu królów! — rzeknie mdłemi słowy —
Tak mówi tobie wódz Spartańskiej zgraje:
„Spartańczyk ginie — lecz się nie poddaje.“
Ledwie dokończył — alić mu król srogi
Jak i pierwszemu głowę zmiotł pod nogi.

Król wściekły w gniewie dziwnie się rozbiesi,
Przekleństwo w ustach — wulkan wre mu w łonie.
Lecz walcząc z sobą, jeszcze raz ochłonie,
I ot, znów z słowem czterej mężę piesi —
Z ostatniem słowem, ostatni posłowie:
— Mężom Spartańskim, iż są bohaterzy,
By rozmyślili, daje dni im cztery,
Po których czterech, gdy te próżno zbiegą,
Piątego, pójdzie zdeptać ich w parowie —
By po ich głowach poszedł dalej w goście —
By po ich głowach stapał, jak po moście,
Do pięknej Grecyi, która już jest jego. —

Tak ich zarzekłszy, król cierpliwie czeka,
I co dnia ku nim ogląda zdaleka,
I myśli sobie wespół z Perską zgrają,
Iż się Spartany słusznie namyślają.
A oni właśnie nie myślą ni chwili,
Bo się już sobie zdawna rozmyślili.

Maż Bogom rówien, Leonidas jary,
I dziatwa jego, tęschni są od zwłoki.
Tak bo im pilno stawić pierś w bój luty,
I z wrogi Grecyi porwać się za bary, —
A tu im tylko czekać już, dopóty,
Aż wróg sam przez się pomknie ku nim kroki.

Przeszedł dzień pierwszy, też drugi i trzeci,
Także i czwarty, — aż w przeddzień na piąty,
Wódz rozporządzi oczyszczalne sprząty.
Zaczem się w środku wielki ogień wznieci.
Wszystką rzecz podła, czem się ciało kala,
Zebrawszy w jedno, miętą precz gdzieś zdala,
I w zdroju członki obmywszy do czysta,
Iż mają zstąpić w podziemne odmęty,
Aby nie błędząc brzegów Styksu sięgli,
W cześć Bogów Ciemnych bija Stugłów święty.
Potem, zasiadłszy kołem wszystko trzysta,
Ostatki kładą na żarzystość węgli.
Skromnej biesiadzie sam król przewodniczy,
A ma na sobie strój też weselniczy,
I równie strojem, jak pogodą lica,
Król z dziatwą swoją dziwnie jednakowy.
Ucztuja różnie. Wśród gwarnej rozmowy,
Skraca się długa czekania tęschnica.

Już też spojrzawszy w wschodowe widziadła,
Wśród gwiazd gasnących, Zelene wybladła,
Z wybladłej — białą, z białej — mgłą się stawa,

I próżno w ślad jej płacze ziemia łzawa,
Bo w łzy te perły, tęcza barwnokosa,
Różanym brzaskiem, bije z bram Heliosa.

Od Perskiej czerni, gdzie zmierzch jeszcze cały,
Roi się z rykiem. Jako morskie pędy
W niezgodzie z brzegiem, gdy już nie ma kędy
Zajść go, iż zewsząd próżno probowały —
Razu jednego, w grocie bazaltowej,
Z wichrem szalonym uczyniwszy zmowy,
I z burzą wściekłą, jakiej nic nie sprostą —
W dzień oznaczony dla srogich szermierzy,
Zebrana w jedno, ciężka Boża chłosta,
Wstrzyma się chwilę, wprzód niżli uderzy, —
I sobie dyszy, i rzeże okropnic,
Ciesząc się wczasu, iż dziś swego dopnie.

— Idą! — krańcowy rzekł mąż. (Ucztowanie
Skończono właśnie). Tedy król powstanie,
(Mąż dużej dłoni, i duch dziwnie młody):
— W sam czas! Ni późno rzekł — ni też za rano,
Ni nam przerwano, ni czekać kazano,
Więc, z ucztą — w ucztę. Bo wnet, a niebawem,
Znów nam, o bracia! — po za Styks — na gody! —

A od zamierzchłej dali, brzmiać donośnie,
Z rosnącym rykiem, groźne mrowie rośnie,
I wraz, z czarnego robi się bładawem,
A ryk wyraźnie grzmi: — „łód i wody!“ —

Rzekł mąż krańcowy: — Nie ma liczb ich sile!
Ile tam mężów, strzał niech wzleci tyle,
Oblicze słońca z przed nas precz odgarną. —
Rzekł wódz: — Tem lepiej. Mniej nam będzie
skwarno.

— Więc że nam bracia, po za Styks, na gody —
(Tak wódz znów prawi) — zaczem, w onym czasie,
Raz ostateczny pozdrówmy się zbliska. —

Więc każdy z drugim bratnio się uściska —
I wraz każdemu w drugim żegnać zda się:
Miłe rodzice, żonę, dziatwę drobną.

A mrowie prnie się, wydając zgrzytnienia,
Niby paznogie, kiedy po szkle skrobna —
Od czego dreszcz ci, aż do duszy rdzenia.
I z bladawego, coraz się rozbłyska,
Iż zda się, niby olbrzymia kołyska
Tęczowych prądów, różnie się chwiejąca,
Od czego człeku dzień się w oczach zmaca.

Pozbędą męże wszelkich szat, by ciało
Z swobody członków łącniej sprawę dało.
Mając też walczyć w zblizonej potrzebie,
Łuk, dzidę krucha, rzuca precz od siebie —
Miecz tylko w dłoni, tarcz u bark, — a jeszcze,
Krzepkiemi członki przyparłszy się razem,
Twardem się w poprzek rozmoga żelazem,
Pięty zaryją w ziemi, — też, jak w kleszcze,

Ramię k'ramieniu, goleń do gołeni
Zepra kłamrowo, i tak upleceni,
W mur z głazu wryci, czekają gotowi,
Aż się więc ku nim przybliżyć wrogowi.

I cisza z nimi — święta — uroczysta,
I groza z nimi. Zda się, niby trzysta
Posągów Marsa. Trzysta tarcz — zwierciadła,
Z których, wzrok widza drętwi śmierć wybladła.
Trzystoma gromów błyskają ich miecze.
I trzysta mieczów ze wzroku ich siecze.

A mrowie huczy, niby grzmi i ryczy
Lew wielogardły, z pod mrocznej osłonki
Na blask słoneczny wynurzając członki,
Członki bez krańców, i tylko tej dziczy
Niby paszczyka głodna — król u czoła.

Ten łom, to grzmienie, któż wysławić zdoła!
(Jak gdy się nieraz dręczy niepozbycie.
Zgrzyt szkła, lub ze snu psa w północy wycie,
Wycie rosnące, zgrzyt coraz zawziętszy,
Iż dreszcz ci zimny aż do duszy wnętrzy) —
I gdy pomyślisz, że ten potwór srogi
Chce naprzód — k'tobie — że trzeba mu drogi,
Ze gdy on przyjdzie, zdźbło się nie ostanie, —
To ci się zbiera na wolne konanie.

Król znak da — stana, dławiać się w rozpędzie. . . .

Pojrzy — a w myśli, ni to mu, ni owo :

— Co twardsze? — nie wie sam — czy skał kra-
wędzie?

Czy mur Spartańskich piersi? — Chwiejąc głowa

Król się dziwuje Perski niepomału,

Iż w lichej garstce tyle znaleźć zapalu.

Wodzowi Greków nic zaś nie dziwota,

Jedno wzrok jego błyskawice miota.

Więc rzuca posły, a ima się mowy,

A głos ich ryczy, jako ryk stepowy :

— Rzuć broń! — grzmi Pers. — Przyjdź wziąć ja
— Grek odgrzmiewa.

Zaczem umilkna, iż już wszystko rzekli.

Stoją Helleni, niby wrośli w drzewa,

A czerń się Perska burzy coraz wścieklej.

Król się dziwuje Perski niepomału,

Iż w lichej garstce tyle znaleźć zapalu.

Wodzowi Greków nic zaś nie dziwota,

Jedno wzrok jego błyskawice miota.

Królowi Persów w głąb serca obraza,

Iż w lichej garstce tyle znaleźć żelaza.

Królowi Persów gra się w licach zmienia,

Iż w lichej garstce tyle znaleźć kamienia.

— Więc gdy wam śmierci chce się tak zażarcie —
Wróćcie się! Znajdzie ona was i w Sparcie!

— Przyszliśmy właśnie oszczędzić ci drogi,
Byś nas nie szukał w Sparcie przeubogiej —
Tak wódz Hellenów. A Pers jemu na to :

— O! w wielkie skarby wielce być bogata
Tej Sparcie waszej — iż jej tak bronicie! —

Tak rzekł duch mały, rojąc skarbów krocie —
A mniemał rzecz tę błędząc znakomicie,
Bowiem Ojczyźnie-Matce — skarb jedyny
Nad krocie krocii — mieć waleczne syny,
Wiecznie z jej sercem zrosłe jak w żywocie.

Zaczem się rozje, iż już długo czeka,
Rozje się Kserkses, z ust mu piana pryska:
— Hej! dość już zwłoki — bo droga daleka.
Nuż krucy moi! —

Wraz się czerń rozhuła
Z wyciem szalonym. Coraz bliżej . . . zbliska . . .
Tuż . . . już się zwarli! — Pers walczy za króla,
Grek — za ojczyznę. —

Śmierci! Ramię Boże!
Bystra potęgę od ciemnego dzieła!
Któż zdoła dosnuć wątek, któryś w porze

Wstrzymała dłoń, i brzmiało przecięła?
Odkąd duch senny w pomoc cię wyzwałem,
Zda się i we mnie stygnąć duch wraz z ciałem,
I chwila zgonu niezbyt mi daleka. . . .

Niech się człek zawział zwalić dąb, co z wieka
Królem był w puszczy, krzepkich wiele męży
Prożno czas długi wspólną moc natęży —
Nie jedno czoło gęsty znój ocieka,
Nie jedna dłoń go omdławszy obciera,
Nie jedna w szczyrby zedrze się siekiera —
A choć już dojmą, jeszcze z zbitej miazgi,
Mszcząc się, strzelają żelaziste drzazgi,
Ostre jak noże, — a która uskoky,
Tnie w skroń, lub w czoło, lub w lica, lub w oczy—
Tak to zajadle król — bohater — drzewo,
Broni się ciosom na prawo i lewo.

Alić czas przyjdzie, iż w ostatniem ścięgnię,
Stal mu cierpliwa watek życia przetnie —
Wtedy ramiona ściągając stuletnie,
W rozpaczy garnie z sobą co zasięgnię,
I tak druzgocząc wszystko co zagarnie,
Legą na trupach — by nie ginał marnie.

Rozbrojonego naonczas olbrzyma,
Różne narzędzie pastwiąco się ima:
Topor, szerokie płatający cięcie,
Z jękiem się trupa uczepli zawzięcie —

Z bolesnym zgrzytem pila też niezwłocznie,
Rozdzierać, kąsać i szarpać go pocznie —
I przeraźliwie piszcząc, w sęków głąbie
Świder się wwierci. I wszelkie narzędzie,
Zanim się wwierci, lub wgryzie, lub wrabia,
Długo się prosić miłosiernie będzie,
Iż go tam przymus w sroga walkę wmota,
Choćcito przecie z trupem już robota,

A z tego trupa, w godziny złowieszcze,
Zrobią kołyskę — trumnę dla Anioła,
Lub trumnę człeku, gdy go grób powoła,
A tak, po śmierci będzie pomszczon jeszcze.

Niech się człek zawziął zmódz żelazo twarde,
Z ogniem się musi zmówić, i z żelazy
Także drugiem. Zaczem, grzmiące razy,
Strudzeniu członków słuszną dając wzdargę,
Sztapie wprost z ognia ujętej w obcęgi,
Młot w młot społecznie cios zadają tęgi.

Tedy zmówieni zdrady towarzysze
Mają co cierpieć, iż jest odpór na nie:
Nieraz osłabnie i ciosów padanie,
Miech się niejeden niezgorzej zadysze,
Nie jeden młot się, splaszczy, a kowadło,
Zbiwszy się zwierzcha, już i w ziemię wsiadło.
A gdy chcąc stężyć kruszce, wprost z płomieni
Nurza go w zdroju wrogowie zmówieni,

Wezwan k'pomocy żywiol przeniewierczy,
Wzdyma się, burzy, i syczy, i skwierczy,
Iż mu on jeszcze resztką sil dopieka.

A tedy mieczem wyszedłszy z kąpieli,
Przez zgon w zabójcze zmieniony narzędzie,
Błyszcząca śmiercią od słońca odstrzeli,
I tak odrodzon, srogo mścić się będzie —
Twór dłoni człeczej, godząc w piersi człeka. —

Niech się człek zawziął wydrzeć matce ziemi
Kruszec miesięczny, który ta, przy skale
Piersi swych, dłońmi trzyma kamiennemi,
Od kropli w kamień kapiącej wytrwale,
Uczyć się musi cierpliwego chcenia.

Więc gdy w nim opór żądze rozplomienia,
Nie pewny jutra, ani kresu dzionka,
W podziemnem państwie, nocą wiekuistą,
Ryje się kretem ślepym, czołga glista,
I czeka w znoju, rychło mu zabrzaka
Stał w sposób dzwięczny, gdzieś między granity,
Iż wtedy wydarł macierzy jej dziecko.
I ma nad głową zwieszone brzemiona,
Co chwila runąć sposobne, a przecie
Nie złoży broni — aż swego dokona.

A tedy kruszec, w krągły pieniądz zbity,
Zgubi go z duszą — iż mu ją zaprzeda.

Tak, mogąc grób nań, podkopanym głazem
Zwalić, mieć woli, iżby chciwa bieda,
Zginęła cała — ciało z duszą razem.

Tak mści się matka przez dziwne — karanie,
Iż wypatrzone, co schowała w łono,

I mieć zachciano, — a czego dostanie
Nie prędzej chyba — ażby je zraniono.

Cóż męże Grecyi? — Oni coraz wznioślej,
Na kupach wrogów pod Nieba wyrośli.
Coraz ich mniej jest, i niby ubywa,
A jednak, w tęgiej razów trzaskawicy,
Wzmaga się odpór, wzbiera moc straszliwa.
Co padnie który, zaraz go nakrywa
Mogła z wrogów, jak dojrzała niwa
Gdy ją kupami zżęty snop zaściele.
I zda się, z jednej ubytkiem prawicy,
Wzmagać się innej w moc za prawic wiele.
Coraz ich niby mniej, lecz pozostali
Biją i za tych, co już popadali,
I wraz za siebie: A jako w pożodze,
W której się płomień z wichrem zmówi srodza,
Kiedy ostatnia krokiew z trzaskiem padnie,
Już tylko, niby wbity kędyś na dnie,
Po mdłych płomykach, na zgliszczach pożaru,
Dym się zakurzy rozwłócząc szeroko, —
Tak padł ostatni w równi z wierzchem jaru,
Na stosie trupów dymiącym posoka.

Ot, i most k'przejsciu! . . . Tak to, znosząc tamę
Z Spartańskich piersi, wraz Persowie sami,
Bez innej rady, własnymi piersiami
Wypełnią wawóz aż po wierzchy same.
Nie ma co więcej rzec. W tem jednym słowie
Wszystka się chwala Greckiej krwi wypowie.

W brzask ranny, chciwi łupów i zdobyczy,
I liczby ległych, znajdują Perskie meże,
Iż ich tysiēcy dwakroć dziesięć leże,
Greków zaś trzykroć gdy po sto policzy.
A też i wszelka zdobycz im uciecze —
Gdyż ci, nagiemi tylko legli ciała,
Jako je matki z łona w świat wydały,
I jeno w dłoniach ich, strzaskane miecze
Za łup wszelaki.

Patrzac król z wysoka,
Zmieni się w licach i w światłości oka,
I ból mu w wnętrzu, jastrzębiami szpony
Rozdrapie smutek, zaledwie uśpiony :
— Co? Tylko trzysta? I co? Tylko trzysta? —
I sen niedawny, niby chmura mglista
Z tkanki cierniowej, choć niby pajęczej,
Zciśnie mu serce, i srogo udreńczy :
„Na jednej szali, wszystkiej Greckiej doli
Dział, a na drugiej — Perskiej. Wtem, dział wraży
Pójdzie ku górze, a Perski przeważy —
Lecz ciężac dziwnie zapada w otchłanie. . . .“

— Czyżby w otchłanie? — I w myśli mu stanie
Dąb groźny zdradnie, choć już trupem padnie,
Kruszec, co mieczem krwawym zmartwychstawa,
I serce ziemi, srogie pomsty swemi. . . .

I pojrzy król on, kędy niwa krwawa,
Pożętym plonem, most mu w Grecyę ściele,
I też na wojsk swych zastęp niewolniczy. . . .
Mocci tam sroga, zawziętości wiele,
I liczba sroga, jako i nie zliczy —
I czego chciał to ma, i syt jest chwały —
A przed się głowa zachwieje zwatpiały.

Nie ma co więcej rzec. W tem jednym słowie,
Wszystka się chwala Greckiej krwi wypowie.

Otoć skończono, jako i podjęto,
Widzącej duszy uroczyste święto.

Kapłanko śmierci! cicha Wiedźm królowo!
Dotknij twém świetnem ostrzem moje słowo —
Jako dotykasz strunę, z której kwili
Łabędzim śpiewem pierzchające życie.
O święte Cienie! czyliż przebaczycie,
Ze niezaznany piewca, w marzeń chwili,
Nie ku swej sławie, lecz ku waszej cześci,
W lat dwa tysiące trzysta i trzydzieści,
Ortyjskim śpiewem twardy rytm wygrzyta? . . .

O Mocy Boża bardzo znakomita,
Która bez końca w przestrzeń ślesz promienie,
I razem w czasie dźwięczysz nieskończenie,
Spraw — by pieśń moja nie była niczyja,
Daj — bym nie zginął, jak i oni żyją,
Których śpiewałem! — A wy, wielkie Dusze!
Kiedy was żegnać, acz żalosny, muszę —
Chyba nie z moich ust się już dowiecie:
Ze Efialt kiedyś istnieć mógł na świecie.
A tak się skończy, jak się i poczęło. . . .
Zegnam was! żegnam! Koniec wieńczy dzieło. —

IV.

POD KANNAMI.

(216 pd. Ch.)

<http://rcin.org.pl>

Po przez Auſidu nurt o srebrném szkliwie,
Terrencyusz Warron patrzy niecierpliwie,
Rychło stopnieje w górach słońce krwawe.
Bowiem mu równo z świtem wziąć buławę
Z rak Emiliusza, w którym dusza trwożna
Mniema z Maksymem: że zwyciężyć można
Za piecem siedząc; zkad więc dwaj ospalce
Raczej są hańbie chętni niżli walce.
Precz! kto zwycięstwo z dnia na dzień odkłada,
Lub tchórz lub w głowie lęgnie mu się zdrada! —

Nie dawno temu — będzie miesiąc blisko —
Hannibalowe podle legowisko,
Wparte pomiędzy bagien trząskie męty,
I Formii stromy grzbiet w urwiska wzdęty,
I morski z tyłu belt, — gdy los nam szczęści,
Już już w kamiennej trzymaliśmy pięści.
Stała się rzecz ta w Kapui przy Linternie.
I cóż? Zwycięzcy znagła się niezmiernie
Złękli i pierzchli. — Kto taki? Rzymianie
Złękli się? — Tak jest — nawet niesłychanie.

Już Kartagińców zewszad kleska spotka,
Gdy ■ tēm pękają szyki ich — i z środka
Wściekle bawoły obces k'nam wybiega. —
— To cóż ztąd? — Tysiąc było ich! — Cóż z tego?
— Z rogów im tysiąc żagwi ogniem błyska! —
— Było ich mimo puścić. — Nadto zbliska
Staliśmy, więc też owi tēm zajadlej
Ku się pomkna. — Bodajście przepadli!
Trudno — nie było nad wami Warrona. . . .
Ha! odłożona rzecz — toż nie stracona.

Jakie tam wróżby? — Cóż! Marsowy święty
Kogut, do jądła dziwne uczuł wstręty,
Rozgrzebał ziarno, uciekł, siadł na grzędzie,
I kwocze, dając znak, iż jeść nie będzie. —
— Toż źle! Bogowie nie chcą? Zła nadzieja!
Szkoda. Któż inny chwyci miecz, gdy nie ja?
A może kogut zje gdy się przepości?
Szkoda. Dwóch takich nie znajść sposobności.

Gdyż z Hannibalem sprawa bardzo licha.
Hannibal — gromca — sam już ledwo dycha.
Hannibalowi wszystkie słońie padły.
W obozie jego, żołdak nędzą zbladły,
Nie widząc zdawna płacy ni odsieczy,
Mrze głód, wygraża pięścią, i złorzeczy,
I zdradę knuje. Toż Ibery świeżo
Sami przez tajne posły ku nam bieżą.

Przyjmie ich — czemu nie? a słusznym zwrotem
Przykładnie Rzymski miecz ich skarci potem.
Więc wrogi w koło — więc u siebie zdrada —
Więc pytam: czyliż taki nie przepada
Sam już, z ochoty niemal własnej, komu
Chłód, głód i droga daleka do domu?
Taka sposobność! — toż nad siły czlecze —
Czyż ją opuści Warron lub odwlecze? . . . —

Zapadło słońce przyszła noc. Około
Północy, Augur chmurne marszcząc czoło,
W namiocie wodza stawa. — Laska krzywą
Gdy zakreśliwszy okrag, nad gwiazd niwą
Dumał badawczo — puszczyk, ptak złowieszczy,
Od strony prawej dziwnie się rozwrzeszczy.
Zły znak. — Nie bardzo. Puszczyk jest to sowa.
Sowę Minerwa w czci nie malej chowa. . . . —
Augur znajduje: — że to są wykręty —
Że nie jest sową puszczyk ptak przeklęty —
— Gadajże z takim! — jak kozioł uparty —
Twierdzi: że w razach ważnych na bok żarty.
Zaniechać walki — taka jego rada. —
— Zaniechać? — proszę! — Nie wie sam co gada.
Tyleż jest mądre krzywe jego drewno.
Może zjednany przez Maksyma? Pewno
Zjednany, woli by przeszkadzał naszej —
Znam to. Chce straszyć — myśli, że nastraszy.
W tych jego radach zdrada tkwi ukryta;
Znakiem mi sowa, co w ciemnościach czyta. ---

Czekać? Nic z tego. Niech odkłada, jeśli
Wola jest komu. Właśnie mi donieśli
Szpiegi, jak wczoraj rankiem, dzicz zuchwała,
Niemał o strzał się z łuku podsuwała,
W zbrojach z poległej pozdzieranych braci.
Zgroza! Ibery zdrajce, i kudłaci
Galle, Numidy podłe, Baleary
Z kamieńmi w torbach, nawet koniec szary
Ciurów, boć przecię i tym hojne dano
Nad Trazymenem z lupów naszych wiano —
Tańcząc, (bodaj się zgraja ta przepadła!)
W piszczałki brzmieci i bili w brzękadła,
I wygrażali, i w szaleństwa chwili
Sprosnemi ruchy Rzymskie Bogi lżyli.
Nawet — powtórzyć straszno! — powiadają,
Że wódz tą nędzną miotający zgrają,
Równie się wstydu zrzekłszy jak i trwogi,
Z orłów pobitych kohort, ma pod nogi
Stolek zdziałany — że jeńcom obroże
Na karki wtłoczył — że tym, których może
Krew najświetniejszą Rzymu jest ozdobą,
Liktorskie pęki każe nieść przed sobą! ... —

To wszystko Warron we zburzonej duszy
Im bacniej waży, tém się srożej wzruszy.
— Cóż tu puszczyka głos? — No — huczał
z prawej —
Toż źle! — Ha trudno! — Lepiejż więc niesławny
Czekając wiecznie, z kąta, przez bram kraty

Ostrożnie patrzeć, jak Brodawkowaty
Maksym — Dyktator świetny od kadzieli?
Precz! Toż nie wszyscy tak jak on znędznieli...
Chyba, że walczyć z bydłem niewolniczem
I miecza szkoda, — bo dość pędzić biczem
Tę czerń plugawą — liche najemniki
Kramarskie sługi!... —

W samotności dzikiej
Tak sobie myśli Warron wódz. Warrona
Serce, nieledwie chce wyskoczyć z łona.
Bowiem im pomsty trawia go zawzietsze,
Tem wścieklej całe wzburzy mu się wnętrze.

Więc jako pragnął, tak się też i stało-
Swych skroni wieńce szatą kryjąc białą,
W obóz Punicki, zanim wstało słońce,
Feciale żagwie rzucili płonące.

Hannibalowy widzi to jastrzębi
Wzrok, — zaczęł duch w nim wstrząsł się aż do
głębi;
Jak w dzwon mu serce uderzyło w łono,
I nozdrza dyszą mu, i lica płoną
To krwi, to sławy żądzą, to obłowu.
— Rzymiany jarzma chciwe — mam was znowu!
Ha! ha! Romana virtus, którą zgniecicie
Punica fides — dawny dług — toż przecie

Nie z innej chęci przyszła gościć nasza
Krwawiąca Dydo w ziemi Eneasza.
Biada, w kim żądza zaświtała płocha
Zmóźdz Hannibala, mściwego Molocha
Amilkarowych cieniów! Któż to taki?
Młódź — flos Romana — Warron — szkolne żaki —
— „Naprzód iść! śmiało!“ — warczą te wilczęta —
„Co? Trazymene? Trebia? Precz przekłeta
Ostrożność starych? Dość nam chcieć, a wkrótce,
Tego tam lichych kramarzy przywódcę
W ten Rzym wtrącimy, co się trwoga błażni —
Tam z Mamertyńskiej wywleczony kaźni,
Kapitolinśkich ofiar niech czci dymy,
Smagany na śmierć!“ — Ho! ho! obaczymy! —

To sobie myśląc, gromki wódz Kartagi
W tarcz brzmiającą trzykroć miecz wymierzył nagi.
Zebrał swe wodze — radza — lecz nie długo.
Po lewej staną nad Aufidu struga.
Szyk ich pułkierza kształt mieć wkłęśły będzie.
Azdrubal wschodnie zajmie wzgórz krawędzie —
Kantabrow, Gallów z nim, Iberów rzesze,
W połowie konne a w połowie piesze,
I cò ku pchnięciu długie mają miecze,
I których brzeszczot kłuje wraz i siecze —
Na odwodowe z tyłu zaś czekanie,
Afrykan ciężko zbrojnych zastęp stanie.
Ku zachodowi, Hannon szyk uczyni
Z Numidów lotnych, którzy w swej pustyni

Gdy strusie gnali, to się widzom zdało,
Że rumak z jeźdźcem jedno mają ciało.
A zaś z północy, ostrzem w klin kolczatem
Hannibal wreszcie sam z Magonem bratem
Kartagi swoje garnąc — wręcz od środka
Pierwszy kohorty Rzymskie bystro spotka,
I wraz na przebój idąc w tym sposobie,
Lub gromkim ciosem wroga wskroś przedziobie,
Albo przeparty wkleśnie wgłęb, i wtedy,
Niby w popłochu, niby z trwożnej biedy,
Drapieżnym ptakiem cały szyk zmieniony,
W skrzydła uderzy, z mieczów mając szpony,
I już półkołem odtąd mknąc jak strzała,
W okolo wroga zgubny pierścień zdziała.
Wtedy, zaprawdę, z głębi tej czeluści,
Hannibal żywej duszy nie wypuści,
By nawet kiedyś wątpić można, czyli
Rzymianie jacy na tém miejscu byli. —

W tumanach wschodu już się brzask rozpostrze,
Krwawiąc żelazca i oszczepów ostrze,
I w tarczach drgając płomiennemi błyski,
Jak bywa Etny grzbiet pęknięcia bliski.
Zastępy Rzymskie, zanim bój się wszczyna,
Obuchem byki bijąc, czczą Kwiryna
Bardzo potężne bóstwo Wiecznej Romy.
Już tłuste ćwierci płomień żre łakomy —
Podszedł Aruspex badać święte trzewa —
I cofnął kroku. Dym się z nich wyziewa

Dolem, i niechce w niebo iść, i w oczy
Gryzące kłęby z głuchym trzaskiem toczy.
Warron czas jakiś dumał troską niemy,
W tém rzekł: — Odwlekać późno już — pójdziemy! —

Więc dobrze — pójda — czemu nie? — pojąć
 snadno. . . .

Ale jeżeli pójda i przepadna? . . .

— Głupstwo! — tak sobie, wódz w swej myśli
 powie —

— Uciekał kogut! — pierzchną więc Gallowie.
Grzmiał puszczyk z prawej? — więc wódz wy-
 ćwiczony

Emiliusz, z jazdą pomknie z prawej strony.
Ku nam wracały krwawych ofiar dymy? —
Więc też sprawiwszy rzeź i my wrócimy. . . .
I z resztą wicher gnał je. . . .

W rzeczy samej,

Zda się piaszczyste rozerwawszy tamy,
Wicher znać miary nie chce. Któż wypowie
Pęd jego? Zda się z Kartagami w znowie.
Toż niemal góry parnym tchem przerzuca,
Zwirem w twarz siekąc, zatykając płuca,
Wzrok wyjadając, tak, że po niewczasie
Orkanem zgubnym królem pustyń zda się.

Nie tak wśród gwarnej Kartagińców rzeszy:
Co Rzymian w rozpacz wprawia — tamtych cieszy.
Numidom zda się Simun, syn bezdroży,
Wstający z rykiem, kiedy, co najspornej,
Zziązani, błędni, przeklinając słońce,
Z wielbłądy swemi brną przez piaski wrzące.
Więc duch w nich zagra i szal opętańczy,
I szmer w ich szykach; jak gdy rój szarańczy
Szczękami mieląc, chciwy głodnej kłęski,
Swych skrzydeł w pochód zbiera lot zwycięzki.

Już w gotowości Kartagińcy stoją.
Hannibal konny, świetną iskrząc zbroją,
W pośrodku wryty, w obie strony świata
Sokolim wzrokiem szyki swe przelata.
Molocha przed nim paszcza wszersz rozwarta
Na wzniosłej żerdzi — także łeb Melkarta,
I Eszmun czarny — brzydkie trzy bożyszczą
Kartagi kupczej. Każdy z nich wytryszcza
Wzrok krwią nabrany, i zębami kłapie,
Jakby już zdobycz dzierzył w chciwej łapie.
Hannibal z czoła zgarnął precz przyłbicę,
I skinał, mając odsłonięte lice —
Godzien półbogiem być bohater cały.
Z głowy mu pęki strusich piór zadrzały,
I z bark lwia skóra w tył mu się odtrąca,
Lwiemi na piersiach pazurami tkwiąca.
A rumak pod nim pręży się i wspina,
I wraz z pod kopyt tego pustynń syna

Z szumem złowieszczym, wicher wyuzdany
Nowe na obóz Rzymski pchnął tumany. —

Od Balearów pierwsze hasło. Dzwoni
Wrzaskliwa gęźba trąb i surm, a oni
Chyłkiem się czając, z po za wzgórz, lisiemi
Tropy, wśród krzaków pełną tuż przy ziemi.
Nie widać w pyle czy kto kręci proca —
Jednak pociski warczą i migocą,
W mięśniach się topiąc, lub pękając w próchno
Na tarczach brzmiających. Wraz ku nim wybuchną.
Łucznicy Rzymscy bardzo celni w strzale.
Zrazu wybiegli ścisłą garstką — ale,
Jako gdy siewca rzuci w bruzdy ziarno,
Wprędce się w polu tu i tam rozgarną,
A z tęgich cięciw śmierć puszczając bladą,
I tu i owdzie sporo trupa kładą.
Tak trwa kęs czasu. —

Już z obojej strony
Wrzenie krwi w żyłach; z pod brwi namarszczonej
Błyski, z ust lecą obelżywe słowa;
Rwie się ku mieczom ręka siec gotowa;
Już i oszczepy w krwawą drogę pchnięto,
I mąż tam każdy, z piersią naprzód zgiętą,
Skinienia tylko tęschny był, a wewnątrz
Dziwnie mu żądze gryzły najzawziętsze.
Znagła oszczepów przycichł brzęk ponury,

I strzał się gęste rozpogodzą chmury,
I chwilę spojrzeć sobie mogą wrogi
W oczy nabiegłe krwią, i tylko srogi
Wicher, szaleństwem krztusząc się namiętmem,
Zdał się być chęci ich i serca tętmem.

Razem dźwięknięto w miedź, i natarczywie,
Na źrebca swego pochylony grzywie
Hannibal grzmiący pomknie się z kopyta.
Z kohorty swemi dzielnie go powita
Maż Konsularny Geminus Servili.
Runą ku sobie z zgrzytem tarcz; lecz w chwili
Jak błysk niedługiej, kiedy najzajadlej
Wzajemnie sobie piersi swych dopadli,
Tuman gaszący dzienny blask na niebie,
W jedną mogiłę pyłu ich zagrzebie,
I wszystko w mroczne wpadło gdzieś odmetry.
Ciężka tam praca! Jak wśród góry wzdętej,
Zanim jej grzbietu pęknie wierzch rudawy,
Żrą się z wściekłością rozplawione lawy,
Tak w téj pracowni w kłęby mgły spowitej,
Wrzenie, trzaskanie tylko, ryk i zgrzyty
Słychać, a ziemia w bruzdy kłęsk orana
Warczy, jak lwica nie znosząca pana.
Ten zamęt z wichrem w jedno zrosły ciało,
Zdaje się trąba być, zapamiętała
W śmiertelnym tańcu, wierzchem swej kibici
Zgięta, że zda się Rzymian w szpony schwyci.

Lecz dołem — cóż to? jakiż pęd zuchwalczy
W łonie jój własnem własny prąd jej walczy?
Cóż tam drga — targa — pręży niesłychanie?
Zwycięstwo! patrzcie! wrogów pra Rzymianie!
Napróżno tamci w ziemię ryją pięty —
Już im struchlało serce w piersi wzdętej —
Ni ja spękana tarcza już osłoni,
Ni miecz strzaskany w drżającej dotrwa dłoni.
Robią co mogą, stale w przód zwróceni —
Twarz im się kurczy i wściekłością pieni —
Aż znagła zbledli, drgnęli, i z ohyda,
Podając grzbiety, w rozproszenie ida.

Jak gdy w powietrza błękitnawej szybie,
Sokoł na życie lotnej czapli dybie,
I drapieżnemi gotów już pazury
Skrzydło jój strzaskać, spada błyskiem z góry,
A w tém z nienacka ujrzy, że mu w łono
Dziób prostopadłym nożem wymierzono,
Więc wraz w powietrzu wstrzyma się jak wryty,
A potém, tam i owdzie, przez błękity
Ważąc się, duma — wreszcie w swoje strony
Popędzi chyłkiem bardzo zawstydzony; —
Tak Kartagińcy, pewni zbyt goraco,
Że szyki Rzymskie pędem w pół przetrąca,
Znagła przeparci, roztrąceni sami,
Trwożni, krytemi tłumnie mknąc drogami,
Kurzawę chłoną zgiętem w dół obliczem,
I zamiast łupy brać — odchodzą z niczem.

Strasznie w popłochu gromią ich Rzymianie!
Cóż tam za srogi łomot, brzęk, trzaskanie!
Znać nie chcą jeńców — brać ich, szkoda chwili!
Wszystko w pień sieka — tych co uskoczyli
Gnąjąc zaciekle... Dalej — dalej — żywo!
Serwiliusz środkiem, Warron tuż. O dziwo!
Cóż to? Emiliusz jeden pozostawa
W tyle? On jeden? Cóż za hańba krwawa!
Przemocą w miejscu trzyma swych żołnierzy
Ten wódz — ten dzielny niegdys — któż uwierzy?
Czyżby mu z piersi zbiegła precz odwaga,
Czy może wrogom zdradnie dopomaga?... —

Razem, ze wszystkich nieba stron, przekłęcie
Huknęło — ziemia głuche dała drgnięcie —
Ztąd — zowąd — zewsząd — buchnął niesłychanie
Gruby, kurzawy pęd — i w tym tumanie,
Jak grom, gdy piorun pęka w chmur całunie,
Rozgłośny tętent kopyt końskich runie.
Stał się zgielk, nieład — jedni drugich gniota —
Swoi tratują swoich... — Cóż to? co to?
Nieba! od prawej wschodnich wzgórz krawędzi
Ogromnych Gallów konna chmara pędzi,
Každy, oburącz, przeraźliwej wagi,
Po nad swą głowę, miecz wydzwiga nagi.
Lecą jak wichry, gołe preżąc szyje,
I wyjąć — właśnie tak jak wicher wyje!
Tam znów, Kantabrow pieszych tłumna zgraja,
W chmurach piaszczystych slania się, przyczajają,

Dłoń ich osęki twarde dwa zaciska,
Za pas dwusieczne pchają toporzyska,
Aż wraz ryknawszy z pełnych płuc, junaczo,
Schyleni naprzód, wilczym krokiem skaczą!
O! i Iberów przeniewiercza tłuszcza,
Jakby na łowach, gdy dojeżdżacz puszcza
Psiarnię, zziajana, lisim skokiem bieży —
W białej od bosych stóp do głów odzieży,
Ku krwawej, z żądzą krwi, lecąca niwie,
W białe puklerze bije zapalczywie
I jeszcze w dali — jak posagi z miedzi,
Getulskich pustyń i dwóch Syrt sąsiedzi
Stoją nieczynni, w jedno miejsce wkuci, —
Ze nie ich kolej, dusza im się smuci —
Więc wszystek płomień żrenic swych w rozprawę
Miotając, wściekle toczą białka krwawe... —

— Kędyż Serwiliusz? Warron? — W tym odmęcie
Któż ich odszuka? Pewnie gdzieś zawzięcie
Walczą. W podobnej jak ta trzaskawicy,
Gdy zapalczywi z dwóch stron przeciwnicy
Wzajem ku sobie gruchnęli bezładnie —
Któż wie: gdzie swój? gdzie cudzy — któż odga-
dnie? —

Grzmia ztąd i zowąd — rąbią bez pamięci —
Wicher dmie — huczy — wicher w miejscu kręci —
Wicher odnosi tuman zgiełk i wrzawę.
Pewnie aż w górach słyhać dźwięki krwawe.

Gdyby aż w Rzymie! gdyby w chwilę ona,
Z świeżemi ztamtąd siły pośpieszono!
Gdyby choć na czas! O potężne Bóstwa —
Wśród tego pędów rozwichrzonych mnóstwa,
Gdybyż rozpoznać co — lub ujrzeć kogo!
Gdzie są Rzymianie? padną — czy przemogą?
Próżno się ludzi. Sami jedni, sami
W tej kaźni srogiej — gwałtów taranami
Grzmoceni zewsząd w słabych sił ogniwa,
Gdzież radę dadzą? czyż to rzecz możliwa?

O! o! w oddali tam — ku zachodowi —
Jakiś się bratni szyk w tumanach mrowi!...
Czy aby w porę w szranki wbiedz dosięże?
Co? Toż zaprawdę Rzymscy jezdni męże!
Półbogom równi — choć przed nimi klęknij!
Sam kwiat młodzieży! Jacyż rośli — piękni —
Jak boju chciwi! I ten wódz przed niemi...
Emiliusz?!... — Czołem — czołem aż do ziemi
Przed nim! O wielki! O! dzielnego ducha!
O! w tobie jednym jedna już otucha!
O ty jedyny! Naprzód — dalej — dalej! —
Dyszą mu nozdrza — wzrok się pomstą pali —
Spojrzał — w porządku cała garstka dziarska,
Gotów maż każdy, każdy rumak parska.
Coś rzekł — wskroś wszystkich przebiegl dreszcz
życliwy,
Skiął — i pomkna jakby grot z cięciwy.

Co? co? — rumaki znów poosadzali
W miejscu? — Czekajcie. Zaraz. Tam — w oddali
Poprzez gwałt bitwy — ponad wichru wycie —
Ten szum — ten łomot głuchy — czy słyszycie?
Czy gdzie, niszczące wydzwignawszy ramię,
Wirowa trąba bór pokotem łamie —
Czyli też groźba gradu klęsk, proroczno
Lodowe żwiry w łonie chmur gruchocza?... —

Wicher poderwał kłęby tak szalone,
Ze aż tchu łaknąć znagła padł na stronę,
I oto — widać... w lewo, w przód i w prawo,
Że zgrzytem, z hukiem, z trzaskiem, z ostrą wrzawą,
Od zachodniego widnokręgu głębi,
Numidów konnych pędzi szyk jastrzębi.
W otchłaniach pyłu jak wśród chmur, złowieszczo
Płaszczę w koło nich niby skrzydła pleszcza, —
Strusie im pióra furczą z wierzchu głowy —
Z ich piersi wzdętych zieje wiatr stepowy —
A w kłęb przed siebie szyje mając zgięte,
Z całej swej mocy, koniom ostrą piętę
W boki wpychają, że się zda, w tej chwili
Po własnych trupach jeszczeby pędzili.

Leca. Takiego pędu nic nie wstrzyma!
Czy zbiorowego tego walk olbrzyma
Zdoła co aby przemódz?... — Jednocześnie
Przecierasz oczy, jakbyś marzył we śnie —

Bo kędy spojrzysz — tu — tam — zdala — zbliska —
Niepoliczone zbrojnych rojowiska —
Ilekoć w mgłach się zrobi widniej nieco —
Rwą się w pęd — skaczą — równo z wichrem leca.
Zda się spadają z chmur — tryskają z ziemi. . . .
Hannibal z niemi — Hannibal z tamtemi —
Gdziebądź, z kądkolwiek wróg się wydobędzie,
Hannibal z nim jest — zawsze — zewsząd — wszę-
dzie. . . .

Toż Hannibalów stu jest — tysiąc — krocie —
Bo czyż podobna pojąć: że w istosie
Ten sam, ten jeden człek, od wszystkich świata
Stron, jednocześnie, jakby błysk przelata?! . . .

Był błysk — toż wprędce będzie grom nielada!
Przekleństwo! żaden ani drgnie, ni pada!
Za nic im grotów łom i strzał kurzawa!
Pędzą — a niemniej swój przy swoim stawa.
Nadbiegną nowi — niemniej zgraja cała
Coraz sprawniejszy ład w swych szykach działa.
Aż znagła, z krańców obu, w sposób tęgi
Coraz pochylsze zatoczywszy kręgi,
Jak gdyby piorun w górach pękł, z stokrotną
Mocą, rozgłośnie zewsząd w Rzymian grzmotną. . . —

Gdby w spiętrzone morskich fal zwierciadła
Wezbrana lawą Etna z przykra wpadła,
I tam, wyzwawszy w bój kto kogo przeprze,
Płomień się z wodą walczyć jał o lepsze,

Ażby, mocując twarde łańców przęśła,
Ziemia się matka zdjęta strachem wstrzęśła, —
Mniejszyby może w tém trzaskaniu świata
Zgrzyt, jak w tej klęsce która Rzymian zgniata!

Emiliusz walczy — ale czy zwycięży?
Na to by musiał każdy z Rzymskich męży
Mieć Encelada pięść lub Polifema!
— Kędyż Serwiliusz? — Dawno go już nie ma! —
— Warron — gdzie Warron? — Pytać, próżna praca!
Pchnięto wysłańca — ale ten nie wraca.
Wrócił. — Cóż Warron? Przepadł gdzieś bez
wieści! —

Coraz jest ciaśniej! Już się ledwie zmieści
Stać — cóż dopiero działać! Na kiel chwyta
Koń, własne jeźdźce biorąc pod kopyta —
Nieszczęsne jeźdźce! Toż im śmierć przyrzekły
Żywioly nawet! Zwirów tuman wściekły,
Ziejący żarem, w twarz ich do krwi siecze,
Podczas gdy pierśmiom grożąc wrogów miecze
Z pod stóp im ziemię biorą piędź po piędzi. . . . —
Doprawdy, jak gdy dymną głównią śwędzi
Pasiecznik pszczoły zbite w leśnej barci —
Tak ci od ziemi są i z nieba parci.
Któż padł — koń — człowiek — jeden przez drugiego
Inni, czempredzej, w próżne miejsca biega.

Swój rad gdy swego śmierć gdzieś w pyły wchłonie!
Bez koni jeźdźce lub bez jeźdźców konie,
Bez wodzów kohort szczatki pierzchające,
Bezbronnych, rannych, garstki — sta — tysiące, —
Tocząc wzrok błędny, oszalałe trwogą,
Szukają wyjścia gdzie — i znaleźć nie mogą!

Wódz, swoich garnąc, walczy bez pamięci —
Cóż, gdy jak w kleszcze ze wszech stron są wzięci!
Walczyć, by przemódcz, czyż się na co zdało?
Toż myśleć tylko, jakby zginąć z chwałą.

Emiliusz walczy z wszystkich sił rozpaczy —
Czyż aby rychło chlubna śmierć przyjść raczy?
Jak kiedy ostra piła lub nóż tępy,
Zamiast przekroić w pół, rozdziera w strzepy, —
Tak Kartagińcom wcale się nie śpieszy.
Wódz wzrokiem przebiegł resztki dzielnej rzeszy —
Walczą — śmierć chytra, zanim w grób ich wtłoczy,
Zawczasu żwirem wyjada im oczy.

Walczy wódz z niemi. Z konia go zwałono —
On wstrząsł się — zerwał — mając skroń skrwawioną —
Wrogom co prawda nie ma czém już dojeść —
W pień rąbiąc, miecz swój zsiękł aż po rękojeść...
Zbroczony — skłuty — w popękanej zbroi —
Chwiejąc się — tarczę nadeptawszy — stoi,

I tylko pięściami jeszcze, z siłą młota
Śmiertelne ciosy w koło siebie grzmota.

Emiliusz walczy z wszystkich sił. Nad siły
Walczy Emiliusz, chlubnej chcąc mogiły.
Emiliusz upadł. Chwyca go w ramiona
Przybocznicy jego — bo wódz dzielny kona!
Nim skona — jeszcze ostatecznej chęci
Rozporządzenie, woła swą uświęci.
Stanęli świadczyć broni tawarzysze,
Na wosku jeden drżącym rylcem pisze.
— Kto wykonawcą będzie? — Rzym Rzymowi
Niech zda mój spadek — tak wódz gasnąc mówi:
— Oto mej woli ostateczne słowo:
„Nieszczęsny Rzymie, w bój się miej gotowo!
Hannibal idzie!“ — Tu, pierścienia złotem,
Z palca go zdjawszy, pieczęć wgniótł, a potem
Połknął ten pierścień, i padł w ziemię twarzą,
I zasnął wiecznie.

Tamci chwilę gwarzą
Pomiędzy sobą: — Dalej mężu pieszy —
Idź — nie trać chwili! — Czy na czas wyśpieszy?
Czy się wydobyć mógł? czy dojdzie cało?
Ha! ha! toż wątpić nie ma co! . . .

Zadrgało,

Jak w dzwonie wspólnym, serc tysiąca chwianie —
Toż jeszcze żyją twardej cnot Rzymianie!

Zda się duch z zbladłych wodza ust wybucha —
Zda się z powietrzem wchłaniasz tego ducha!
Z źrenicy każdej krwawy płomień tryska,
Wrzenie, zgiełk zewszad — z boku — zdala —
zbliska.

Tam — lwi dźwięk ryknął w trąbę wpół strzaskaną —
Drgnął każdy — zda się z grobów zmarli wstaną!
Ten i ów chwyta, wściekłą żądzą ślepy,
Cobądź — co znalazł — drzazgi strzał, czerepy
Zbroi, żelazca włóczni, tarcz kawaly,
I mknie, krwią dysząc, straszny, rozszalały. . . .
Jakiż to groźny Bóg się w pierś im wwierci?
Cóż za szaleństwo zemsty, boju, śmierci!
Ten się rozkazów, ten słuchania ima,
Ten i ów, w zwiędłych członkach swych, olbrzyma,
W sercu swém wodza poległego wskresze —
Ten — tamten — wszyscy! I te garstki pieszce,
Rozbite, w szmaty zdarte, skaleczale,
Przyśniwszy sobie w swem zdrętwieniu chwałę,
Krew z oczu ziejąc, z ust ryczących pianę,
Wybuchem piekła zdają się być gnane!
Zrywa się nawet kto już konał w pyle,
I pięść ściskając, zgrzyta!

Kędyż tyle

Mężna jest Parka, co ten lud Mocarzy
Doprząść, i w pasmo związać się odważy?
I gdzie żelazo co ten wątek przetnie? . . .

Kto widział kiedy w duszne skwary letnie,
Jak ludzie, co się ukąszeniem struli
Jad sączącego żądla tarantuli,
Wszystkiemi naraz członki opętańczo
Drgając, po wrzących piaskach z bólu tańczą,
Aż jedną razą, usta brocząc w pianie,
Z wszystkiej się mocy zerwą niespodzianie,
I mkną, nie bacząc, czy się nie roztrąca,
O skał lub murów ścianę wszersz stojącą; —
Ten niech się dowie, że tak samo zgoła —
Owszem i srożej — jeśli to być zdoła —
Precz wytrąciwszy złudne z serc nadzieje,
Resztką się Rzymskich mężów rozszałeje.
Są, co przez zęby świszcząc z zaschlej krtani,
Paznogćmi platać pędzą opętani —
Są, co jak wilki wstrętą tchnąc sromotą,
Wroga w kawały szarpią, gryzą, gniotą!
Zda się, w rozjadłej wrzeniem krwi rozpaczy,
Nie mogą, czy też nie chcą już inaczej —
Zda się, bez granic, zemstą, wstydem wściekli,
Być dłużej ludźmi całkiem się wyrzekli —
Zda się być odtąd żądzą ich jedyną,
Zanim koniecznie wszyscy w pień wyginą,
Tej zgrai kupców, co ich hańbą trwoży,
Szlachetne życie sprzedać jak najdrożej.

Groza przed niemi, z niemi, i za niemi!
Drgnęli wrogowie podziwieniem niemi,

Nawet nie jeden zbladły w tył się zwraca —
— Ha! toż nie mała będzie tutaj praca! —

Zaprawdę — praca była tam nie mała!
Aż jak i wszystko swój kres wreszcie miała! . . . —

Jeżeli masz w piersi duszę nie lękliwą,
Pójdź, spojrz na krwawe Kartagińskie żniwo.
Nigdzie tam ziemi. Nagie matki łono,
By ją przed niebem nie mieć zawstydzoną,
Brzemiony własnych ciał synowie skryli,
W góry się piętrząc. Mniemasz w owej chwili
Widzieć, i srogi ból twą pierś uciska,
Przedwczesne Rzymskiej chwały rumowiska.
Lecz nie — patrz raczej, z jak niezłomną butą
Ku niebu każdy wznosi pierś rozpruta —
Jak w śmierci nawet groźny jest i srogi —
Toż istnie śpiące wilczych cnot półbogi!
Dusze tych gromkich ciał, nim w otchłań zbladza,
Poszły, w Rzym wieczny dmuchnąć pomsty żądza!

Krwi, co zalała w bród śmiertelną niwę,
Nie mogły nawet wypić piaski chciwe.
Od jej strumieni Aufid stał się wzdęty,
I koń spragniony, pijąc owe męty,
Chrapał, z gardzieli dając zgrzyt konania.
Zgrozą przejęte słońce w mgłach się ślania —
Bowiem z moczarów krwi i z krwi kałuży
W krwawe się kłęby parny tuman kurzy.

Już zdawna w dole cisza śpi grobowa,
Już i strudzone słońce zwolna chowa
W kołczan z obłoków pokrwawione strzały,
A tu i owdzie długo jeszcze brzmiały
Z rozkołysanych fal powietrzokręga:
Wykrzyki wściekle, walki wrzawa tęga,
I trzask pękania, i chrzęst, i tętęty
Kopyt, i dźwięki trab, i zgrzyt zawzięty.
Nie było wiatru co im skrzydła dawa. . . .
Gdy ostatniego z Rzymian już, kurzawa
Ostatnia, reszty martwych zwłok przysypie,
On także śmiercią usnął na tej stypie,
I nie wstał więcej — bo już nie miał po co. . . .
I na obłokach czyliż nie migocą,
Ilekoć który bystro spojrzy w słońce,
Zbroi, strzał, włóczeń i tarcz błyski lśniące? —

Na mieczu wsparty, w popłatnej zbroi,
Stał wódz, i patrzył chmurno, jak się roi,
Niby robactwem trupiem, od krwi ślizka
Pokotem zżęta błoń pobojuwiska.
To Kartagińscy gromce, dłonia skora
Z pobitych Rzymian szczodre łupy biora.
Ha! ha! zaprawdę srogaż tam szczodrota!
Samych pierścieni ze szczerego złota,
Z których noszenia, jakby z cnót rozkoszy,
Szlachcic się tylko czystej krwi panoszy,
Zsypano w namiot, kędy stał Melkarta
Potwór żelazny, wielkich miar półczwarta!

Emilowego tylko tam nie było —
Wraz z wodzem w skarbcu spoczął — pod mogiłą
Zaszczytną wielce — jako niby wdowi
Grosz, w chwały drogę! — Potem — gdy wodzowi
Do stóp zwycięzkich słano skarb wszelaki:
Centuryi, kohort i legionów znaki —
Znagła, spojrzeniem zmierzył gromowatę
Wymowny napis „Rzymski Lud z Senatem“,
I zadrzał w sobie, i kopnięciem pięty
Zgniółł go, aż z tarczy wklęsłej, wstydem zdjęty
Odskoczył orzeł rzymski drgając srogo —
Szczęściem, nie było z Rzymian już nikogo,
Coby to widząc, od tej musiał krwawej
Konać zniewagi! Tylko po przez trawy,
Ku temu orłu co się w prochach tarza,
Z Eszmunowego w głębi gdzieś ołtarza,
Waż podpełzł czarne wypalając ślady,
I chciał go ugryść — ale nie dał rady —
Więc sunął dalej sycząc złość potwarzczą,
I legł się zwinąć w kłęb pod wodza tarczą.

A wódz, w dal chmurną patrząc, w duszy powie:
— Jest chwała — pogrom — łup — lecz gdzież jeń-
cowie? —
— Nie ma — ni jeden nie chciał pójść w nie-
wolę! . . . —
Zaczem zrzenice spuścił w dół sokole,
I uczuł smutny, że mu bladeść twarzy,
Mimo zwycięstwa, wstyd płomienny sparzy.

Już i twarz słońca wstydem zapłoniona,
W dół patrząc, chmurnie z krwawej pracy kona,
A jeszcze zewsząd, jako gdy ogarnie
Robactwo trupa, równie skrzętnie, gwarnie,
Plądrującemi w polu śmiercią zżętem
Pobojowisko wciąż się roi. . . . Z wstrętem
Wódz się odwrócił ztamtąd zgrozy bliski,
I w słońcu hardo utkwiał orle błyski,
I pytał chmurny: czemu tęszna skarga
Chwały mu watek szponą zwątpień targa?
— Ten lud, któremu żeby blask zdjąć z czoła,
W całym szerokim świecie, tylko zdoła
Hannibal, je len tyle być zuchwały —
Ten lud, któremu skroń obroną z chwały
Stopą nastąpić, wstyd uczuwasz w twarzy —
Ten Bohaterów lud, ten lud Mocarzy,
Ten lud półbogów! . . . I ten obok drugi —
Czyż to lud jaki? — Motłoch — nędzne sługi,
Z postronkiem zrosłe co się w kark im wrzyna —
Zgraja przybłędów — licha zbieranina —
Spędzona biczem dzicz od krańców świata —
Plugastwo pustyń, co się z zwierzem brata! . . .
A jednak — biada, kto się wybrać wzdraga!
Bo jedno z dwojga: — Roma lub Kartaga —
I nie ma świata dla nich dwóch, i nie ma
Rozejmu nigdy między niemi dwiema!
A więc Kartaga tylko! — O wściekłości!
Być Hannibalem — krwią krwi, kością kości
Wielkiego Barków rodu — Amilkara

Synem, Szoffety Mórz, przed którym stara
Roma raz pierwszy ledwie strach utai —
I służyć nędznie tej przekupniów zgrai,
Drapieżnie chciwej, zysk jedynie złoty,
Czczącej, a skąpej w cześć, szlachetność, cnoty —
I do słonecznych zwycięstw mając duszę,
A świat w swej dłoni — czekać w serca skrusze
Aż ci tam — jacyś — gdzieś — z niechętną twarzą —
Żołd, pomoc, chłodną wdzięczność wykramarzą; —
Wiedzieć: że zewsząd w koło ciebie, zdrada
Chce życia twego, z chwały cię okrada —
Czuć się wielkości swej i mocy panem,
A być narzędziem, chytrze popychanem
Na drogi zysków, coby w przepaść wiodły. . . . —
Ten Hannon podły rodu wróg! — ten podły
Senat! Dla kogo wszystko to? i na co
Upracowania tyle, z lichą płacą
Dziennego najmu? . . . — Ha! toż kiedyś przecię,
Ponad otchłanią wieszczą w Hadrumecie,
Hannibal ojcu przysiągł, bluźniąc srogiem
Przekleństwem, wiecznie być Rzymowi wrogiem —
Bogowie słów chłopięcych z czią słuchali —
Amilkar wierzył. . . . —

Już oddawna w dali
Zmierzchło, a nawet już oddawna, zcicha
Noc nad zmarłemi tchnieniem wiatru wzdycha.
Schronieniem wreszcie gardząc gdzieś dalekiem,
Po całodziennej z wichrem i człowiekiem

Walce — nim znów ją gwarne spłoszy rano —
Do ziemi tuląc łzami pierś wezbrana,
Usnęła cisza, jako śmierć, głęboka.
Nocy tej księżyc nie śmiał wyjść z obłoka,
I nawet gwiazdy przymykały oczy,
Widząc, jak krwią się blade blask ich broczy
W Aufidu rzeki srebrnem niegdyś szkliwie.
A on — cóż wtedy? On jak wprzód, jękliwie
Skargami szemrzac, w czarnym się całunie
Nocy samotnej spowinawszy — sunie
W wieczności morze — oddać niepamięci:
I o co ludzie wiedli bój zawzięci,
I co tam z hańbą, i co było z chwałą,
I zwycięzkiego wodza myśl zwatpiała. . . —

W Rzymie strach bladej moźnym stał się panem.
Zewszad, płynieniem niby wód wezbranem,
Tłum niespokojny roi się i tłoczy
Niechybnej zgubie spójrzyć prosto w oczy.
Bowiem od Wejów górnych patrzac, kędy
W błękity niebios, powietrznemi pędy
Samotna skała stromy wierzch wydyma —
Na ten strzaskany gromem kark olbrzyma,
Molocha straszne jak zły sen widziadło,
Żelazne łądzwia gnac, okrakiem wsiaćdo.
Pierś mu się dymem krztusi — zgrzyt łańcucha
W gardzieli chrapie — z paszczy płomień bucha.
Mówią: że żywcem, w tej czeluści czarnej,
Ludzie bywają kłem czerwonym zżarci —

Lecz, co właściwie prawdą jest z tej mowy,
Pytaćby chyba cień Regulusowy.

W Rzymie strach srogi możliwym stał się panem.
Tu owdzie matka, z licem pomieszaniem
Niemowlę tuląc, na okropną górę
Pogląda skrzepła. Gdy zakwili które
Pokarmu łaknąć — ona, strachem blada:
— Milcz! bo cię porwie Hannibal — powiada.
O Matko Rzymska! czyż to rzeczy łatwe?
Gdzież kto nakarmił strachem Rzymską dźwiatwę?
Spójrz tam — a przyznasz: jak to krew nie kłamie —
Ten mały Scypion myśli już o Zamie. —

v.

JAKO JULIAN ZAPRZANIEC
ZABIT OD PANA.

<http://rcin.org.pl>

Vicisti Galilaeae!

U słonecznej u Tygrysowej wody,
Staną przeciw dwa króle, dwa narody;
Cezar Romy, co się był zaprzął Pana,
Pers co nichce przed Romą zgiąć kolana,
Cezar Julian, czci Pańskiej wróg wiadomy
I król Sapor, krnąbrny przeciwko Romy.

W Zaprzańcowych szykach rycerstwo hoże,
Mąż bo w męża — pewnieć to on przemoże!
A zaś Sapor wybran by w bój niewieści,
Lecz z nim Pan jest, mściciel Swej własnej cześci.

Ma syn człeczny szatę w płynące bramy,
Pas go złoty pasze u piersi samej,
Włos śnieg ćmiący a kręty jako welna,
A zaś oczy płomień a ogień spełna;
Kruszczem lanym z pod stopy żar mu strzela,
A głos jego jakoby głos wód wiela;
Siedm w prawicy gwiazd ma, jak mleczone siostry,
A z ust jego miecz w strony obie ostry,

A zaś lica tak mu się rozjaśniły,
Jak gdy słońce świeci w swe wszystkie siły; —
Lecz się Pana (iż się on w sobie skrywa)
Żadna dusza nie dorozumie żywa.

Więc dwa króle, a z niemi dwa narody,
W bój się kwapia u Tygrysowej wody.

Nie wie Sapor zkąd mu potęga rośnie,
Nie wie Cezar zkąd mu jest nie radośnie, —
Cezar Julian czci Pańskiej wiarołomy
I król Sapor co się był zaprzął Romy.

Tedy Cezar w czarach pomocy szuka,
Lecz mu na nic wróżbit i ciemna sztuka.

W tém do niego duch jego dobry rzecze:
— Pan ci idzie coś go się zaprzął człeczce
Czas jest jeszcze, niechciej ty w nim szermierza,
Mir z nim uczyn, boć się twój kres domierza. . . . —

Tedy Cezar splótł na krzyż ręce obie,
I zaś milczał, ważąc swe myśli w sobie.

W tém mu rzeknie duch od ciemnego chcenia:
— Jakoś zmiennik, tak się i tobie zmienia,
Pan twój idzie, srogaż ztąd tobie nędza,
Daj mu pokłon, boć się twój kres dopędza! —

Tedy Cezar ważył swe myśli w głowie,
I zaś milczał. W tém się on tak ozowie:

— Ktoby dał mi, by Pan chciał przybrać ciało,
Wtedy zrobię co mi się będzie zdało;
Ktoby dał mi, bym go mógł ujrzeć cało,
Wtedy zrobię co mi się będzie zdało. —

To gdy wyrzekł, stał mu się Pan widomy
Tak więc właśnie jako chciał mocarz Romy.

Złożył Cezar strzałę na łuk skrzydloną,
I wraz szukał posłać ją w Pańskie łono;
Posłał jeden pocisk i drugi, ano
Żaden nie chce pojsć gdzie mu iść kazano:
Pierwszy bieżąc górą iż był zbyt cienki,
Ręce Panu przebódl jak miał u męki;
Drugi będąc cięższy iż więc się zniża,
Nogi Panu przebódl jak miał u krzyża.

Tedy Cezar zazgrzyta zły bez miary,
I swe bogi zaklnie i ciemne czary:
— Ejże mnie zaś! lub mi się ćmi ślepotą
Lub jest Bogiem nad wszelki Bóg ten oto! —

Więc przymierzy jako mógł najnauczniej,
Kędy k'sercu ranę Pan miał od włóczni,
Alić pocisk, jakoby sam z swej strony,
W pierś strzelnika odstrzeli cios zwrócony,

Aż więc przypadł na swoje dwa kolana
Cezar Julian co się był zaprzął Pana.

Tedy poczuł, iż to jest w duszę rana,
Cezar Julian co się był zaprzął Pana,
I że przeto wieczna jest śmierć zadana
Zmiennikowi co się był zaprzął Pana!

Więc piolunem twarz mu się skrzywi zbladła,
Rozdart gorzej tam gdzie mu strzała wpadła,
Garść krwi czerpnął w źródle tem przeobfitem,
I zaś rzucił, w górę ją rzucił z zgrzytem,
Pod niebiosą rzucił ją, pod świetliste:
— Zwyciężyłeś Galilejczyku Chryste! . . . —

I padł Cezar, wśród prochu kładąc głowę. . .
A miał lata pełna bo Chrystusowe
Trzy z trzydziestą, jako jest rzecz spełniona
Chwały Pańskiej gdy u Golgoty kona;
Gdyż król niebios cierpliwie dać się skłania
Zmiennikowi lata upamiętania
Aż do swoich, by w nich uwielbił zasię
Imię Syna, jak Ojca On w swym czasie, —
Lecz iż niechciał, legł przeto żdźbłem zdeptanem,
Gdyż niestuszna człeku zaś walczyć z Panem:

Tak więc zasnął, by się nie zbudził z rana,
Cezar Julian co się był zaprzął Pana,

W noc bez światła, ciemną na wieków wieki
U słonecznej u Tygrysowej rzeki.

Święta Panno, niebieskich łask dawczyni,
Niech się za nas Twój słodki głos przyczyni!
Zdarz, abyśmy byli też i my sami
Zawsze z Panem, i zawsze Pan był z nami!
A Ty Panie, przez Twe Najświętsze rany,
Strzeż nas śmierci nagłej a niespodzianej!

Amen.

<http://rcin.org.pl>

VI.

PSIE POLE

(1102.)

<http://rcin.org.pl>

Płudracki gdzieś tam Carzyk nad Carzyki,
Co się Cezarem między Niemcy zowie,
Śmie Lechów króla wyzwąć w twardem słowie
Pyszałek próżny!

— Ej ty władco dziki

Nie król ty żaden, jedno jakieś książe —
A jam jest Cezar nad Niemczyzną całą!
Więc się mnie pokłoń, dawszy jak przystało
Dań trzysta grzywien — a ja w czas podaże
Wziaść ją, i raczę przyjąć też łaskawie
Twa wierność wieczną w zaprzysięgłem prawie.
Jeślić nie k'myśli coś to słowo powie,
Możesz mię w rychle czekać w twym Krakowie. —

Na to król takie prześle mu pisanie:
— Na grzywny niewiem azali mię stanie,
Bo złoto u nas mieniem wielce rzadkiem;
Ale żelaza za to podostatkiem,
A toć jest twarde, wzorem Lackiej duszy,
Co niż ja ugiąć — raczej zsieć w kawałki. . . —

Zaczem się w królu wszystko wnętrze wzruszy —
Markotność jemu z Niemca psiej przechwałki —
A jeszcze srożej stał się rozziajany,
Iż mu on wierne dławił Głogowiany,
Skradł Lubusz, a zaś wzięwszy w łeb w Bytomie,
Pładował w koło — rad się mścić łakomie.

Tedy król zwoła sporo wojownika,
Chcąc by się każdy wybrał w bój, — i wprędce
Radby dać ptasie skrzydła swojej chętcie
Potkania Niemca co się w garść mu wtyka.

Wedle Wrocławia pójrzą sobie w oczy,
Lecz im w dzień ony walczyć nie jest składnie,
Bo się i słońce już do spania kładnie,
I tuż się za niem senna noc rozmroczy.
Więc się rozlegną, jak to człek u siebie —
Ci śpiąc, a drudzy czując ku potrzebie.

A Car Niemiecki współ ze swą zgrają
Po drugiej stronie gwarno się bawiają,
Tlą ognie, kufłom radzi a pieczeni,
Lub w trząskach betach topią się wraz z głową,
By zaś nie byli zbyt w bój strudzeni.
Lecz carzych powiek sen się snadź nie ima, —
Car po namiecie chodzi obcesowo,
Coś po czartowsku szwargocząc z wodzyma,
(Boć nie po ludzku, jako więc niemczysko) —
W tém — z środka ciszy — n.by tuż, tak blisko

W Niemieckich słowach pieśń mu w uchu leci.
Słucha jej chmurny i lica mu zbledna,
Bo słowa pieśni ostre są jak brzytew:
— „Acz was sto tyle, acz was jako śmieci —
Wygrał król Lechów pięćkroć dziesięć bitew,
Łacnoć mu złożyć pięćdziesiątek z jedną!“ —

Porwie się z miejsca Car, i zły nie lada
Zgrzytając, z przykra na swe knechty wpada:
— Wer da? — O Bożym świecie nikt nic nie wie.
Jedni zaspane przecierają oczy,
Drudzy przy kuflu bardzo są ochoczy,
Nikt nic nie słyszał. — Car się zjada w gniewie —
— Czyżby obłuda? Czyżby mu się zdało? —
Tymczasem w dali — chyłkiem — Lech z uboczy
Co tchu ku swoim drze na szwabskiej szkapie —
A wiatra w polu chybać wiatr bo złapie!

Z brzaskiem się słońce wstawszy w krwi wyłoci,
Aż i poblądnie od rześistej świetli,
I oto widno, jako się rozmiętli
I ci i owi. Niemców mnogość kroci,
A Lechów łatwie po jednemu zliczy.

Dziwneć zbieractwo w tej tam Niemców dziczy!
Spasłe Bawary od czarnego piwa,
Piótniarze Szwabcy niepomerne tchórze,
I rzezimieszków Saskich czerń łapczywa,

I też Frankony zbóje bardzo duże,
Także Turyngi niemrawy przeklęte, —
Jedno drugiemu włazi aż na piętę,
A wszystko gada niby z czartem w znowie —
Niemadre gęby głupi dmą wodzowie —
Sam Car tak owak stawi swoje stada,
I coś tam do nich po niememu gada.

A król zaś Lechów, po przed szyki swemi,
Miecz zwan Zórawiem końcem wbiwszy w ziemi,
Poględa wsparty jako wróg się mrowi.
Po za nim — rzekłbyś wielkiej czci klejnoty! —
Ufiec doborny acz nie złożon z wiela —
Błyskawicami grają pancerczowi,
Usarze chrzęszczą jakby pszczół rój złoty,
A kopijnikom z włóczni słońce strzela.

Król znak da. Ryknie dźwięczna miedź — więc
* fletnie

I surmy brzmiać tuż się w dźwięk ten wmacą,
— Boga Rodzico! — Król zapieje grzmiaćco —
— Boga Rodzico! — tuż za królem, setnie
Kochana dziatwa, wiedząc w prawdzie ducha,
Że jej Najświętsza Panna w Niebie słucha,
Grzmi w niebogłosy!

Niemcy pogłupieli.

— Co? co? toż w rzecz tę wdadzą się Anieli? —
Strach im grzbiet ziębi, strach im oczy gmatwa. . . .
W tém król, oburacz dzierżąc miecz nad głową,

Bystro się pomknie naprzód — za nim dziatwa
Z chrzęstem a z błyskiem.

— Jezus święte słowo —

Kto Bogu wierny bij ich! Ej wy blazny!
Dam ja wam tutaj dań i hold przyjazny —
Za trzysta grzywien zjedzcie czartów trzysta!

Zaczem pierwszego, nie sięgając dalej,
Utnie od ucha — więc mu łeb rozwali.
Ztąd dzielny wyłom, aż się chmura mglista
Kopnęła w Niebo. Bierze swój swojego
Za kark — tuż zaraz coraz inni biegną.
Boże przedwieczny! toż w tem biciu gęstem,
Samym już trzaskiem, błyskiem, brzękiem, chrzęstem,
Na śmierć niemieckie zasapie się sadło!

W tém coraz grubszy pył się kłębić imie —
Po pas — po głowy — wpół głów — aż jak
w dymie,
W kurzawie onej, wszystko precz przepadło.

Jedno jak kiedy w kowalskiej pracowni
Wśród grzmiących ciosów młot na młot nastawa,
Aż na dwie strony pryska światłość skrawa —
Tak skaczą błyski od mieczowych głów
Rąbiących dzielnie, że aż w krańcach świata
Z rozgłosem trzeszczy. Chmura strzał skrzydłata

Syczac, jak zwykły giętkie czynić źmije,
Niemiecką kupę gęstym ściegiem szyje.
A tu proporce furczą im przy głowie —
A tu od kopii klucie co się zowie —
A tu się oszczep wierci, klem osęka
Płatając boki, jak obskoczon strażą
Dzik, gdy z zapadłej kniei go wypraża.
Niemiec się prosi, składa ręce, klęka —
— Nic. Znaj kochanku co to Lacka ręka! —
Tu łeb swojego szukać chce tulowa —
Tam tułów pyta: gdzie jest jego głowa?
Owdzie, śmierć trawiąc, zipać jął rozgłośnie.
A toż dopiero! Więcże — daj to panie —
Chyba ni jeden Niemiec nie zostanie
Na świecie żywy? Toż aż dusza rośnie
Jak to tam Lesi kłują, rąbią, sieką!
Doprawdy — słyhać Bóg wie jak daleko! —

Ale nad wszystkich król się rozgwaltownia.
Po krzyż od ostrwia krwią ociekła głownia
W dłoni mu dymi. By żubr rozwścieczony,
Płata, nie we dwie, lecz we wszystkie strony.
Prze poprzed sobą, płoszy, zmiata w pędzie,
A kogo dosięgł, w tym już tchu nie wiele —
Stąpa po kupach i pokotem ściele —
Był tam — już indziej — tu — znów tam — a wszę-
dzic,

Wprost na kapustę, tnąc niemieckie głąbie,
Tuż za nim dziatwa gęstym ciosem rąbie.

Aż też i znacznie zrzędzie stado ono.
Więc jak w kapuście, gdy ją tnąc rżęsiście
Wyskakujące zagartujesz liście,
Tak też i Niemców składnie obskoczono,
By z nich nie uszedł nikt żyw. Jak gdy z kotła
Radaby wrzaca para się wygniotła —
A tu ją z góry dławi ciężar wieka —
A tu od spodu ogień jej dopieka —
Więc tylko w sobie krztuszac się, bełkota;
Tak w tej rozprawie, kędy wre ochota
Za katy kusa — ryk owdzie i ondzie —
Zda się nie skończą aż na Straszonym Sądzie!

Już i nie widno: kto tam swój, kto cudzy —
Tożbo robota panie ratuj! W głębi
Niekiedy tylko skręci coś, zakłębi —
Cóż gdy się w kole robi coraz kródlzej!

Aż wreszcie osłabł zgiełk i bój zajadły —
Zwolna też kłęby smugiem w dół przysiadły —
Słabna i gromce od swej srogiej wściekli —
Aż też i dosyć. Siec nie warto dłużej,
Bo już i słońce do snu oczy mruży —
A wreszcie niema coby już i siekli.

Z brzaskiem, rumianym jako lica róży,
Chcieliby Lesi głowę znaleźć Cezara;
Ale się każdy próżno szukać stara;

Bowiem z wczorajszej z Niemcy pogawędki
Nie tusząc wiele, on impetyk prędki,
Stuliwszy słuchy jako chrobry zając,
Precz uniósł duszę, czartu ją chowając.

Błaźnięcy król on zbył się coś przechwali,
Gdyż sił tam jego jedno prochu warstwa, —
A tak, daleko jakoś do Cezarstwa,
A też do grzywien onych, jeszcze dalej!

A odtąd psiem też zwie się pole ono,
Przeto iż właśnie Niemce tam sieczono —
Boć to jest znano: iż z żadnej strony
Nie może Niemiec człeku bywać bliźni,
Bowiem psu tylko brat jest czart wcielony —
Ztąd i proch jego ziemie nie użyźni —
I gdyby kiedy sprawić ono pole,
Nie będzie z niego zboża, lecz kakole. . . —

Tedy od Niemców Boże miej nas w pieczy!
Bośmy Twe dzieci, prawy ród Twój czleczy! —

VII.

KRÓL ŚMIAŁY.

Był król, żelaznej mąż prawicy,
Przesilny w każdym dziele,
Lud czcił go, drżeli przeciwnicy,
Pan go miłował wiele,
Żelazny miecz dał w dłoń mocarza,
I rzekł mu: — Miecz ten cuda stwarza,
Lecz strzeż się w złej godzinie:
Od blasku złota miej go precz,
Złotem się szczyrbi cudów miecz,
Żelazo — złotem ginie! —

Przed królem, wprędce, ze wszej strony,
Narody głowy kłonia.
On, gwoli prawu, berła trony,
Rozdawał szczodra dłonia.
W pychę go wzbili cudów sprawy,
Aż olśniał sam od własnej slawy
Wybraniec Panu miły,
I raz zdobyty biorąc gród,
Uderzył mieczem w odrzwia wrót,
A wrota — złote były.

W grodzie tym nierząd miał stolice,
Rozkosz, co jadem wzdycha,
W jedwabiach żądze krasnolice,
W klejnotach miękkość licha. . . .
Szatanem stał się król z anioła,
Więc lud koronę wziął mu z czoła,
Moc go odeszła Boża —
Stępiony miecz porzucił z dłoń,
Pokutnym prochem potrząsł skroń,
I przepadł w gór bezdroża.

I rzekł do króla Pan grzmiąc w chmurze:

— Synu mój! cóż się stało?

Dałem w twe ręce dobra duże —

Patrz, czyś je zwrócił cało?

Naucz się prawdy w przykrej toni:

Żelazny miecz, w żelaznej dloui,

Żelazne cuda działa.

Człęk, jedno tylko bierze z dwóch, —

Żelazem — prawda, chwala, duch,

Złotem jest — wielkość mała. —

VIII.

WIANO KROLEWNY.

<http://rcin.org.pl>

Słuchajcie dawnych słów powieści,
W słowie się dawném prawda mieści,
A w prawdzie mieszka Bóg — Duch prawy.
Raz lud Lechicki w cudów dobie,
Małżonkę chciał poślubić sobie —
Przesławnej dziatwie — matkę sławy.

Więc w różne strony, w tę i w ową,
Ponieśli posły drużby słowo,
Też dar przystojny w cześć wesela.
I gdy im wielce radzi wszędy,
Dokładnie ważą wszelkie względy,
Jakby wybrali z pośród wielu.

Zaczem król wszelki rzekł sam w sobie:
— Wiana szukają wiem co zrobię —
Mocenci jestem jak nikt nie wie,
Bo córa moja z krasy znana;
Gdy więc nie pożałuję wiana,
Niechybnie dank wzięść mojej dziewie. —

Więc rzekł im jeden: — Dam mej córce
Ziem obszar srogi, — kraje duże
Od wschodu w zachód. Więc rzekł drugi:
— Córa ma dziwnie was obdarzy:
Pierwszy po Bogu ród mocarzy,
Mnogość mu potęg jako sługi. —

A inny zasię: — Weźcie moja,
Mnie się po ziemi jak lwa boja. —
A drugi sobie: — Tać bo pani!
Oto wam posły cudna dziewa,
Jakiej podobnej świat nie miewa —
Nie jeden turniej zwalczon dla niej. —

Ów znowu: — Mam ja szaty w złocie,
Też klejnot mnogi, skarb nad krocie,
A wszystko dziewce mej dam w wianie. —
— Córce mej — drugi wabił słowy —
Bez liku luda w dar godowy,
Ufiec rycerzy w orszak stanie. —

Lecz za nic krasa, blask urody,
Rozległe włascie, z głązów grody,
Bogactwo lśniace złotogłowo,
Też i potęga silna dłonia.
Wszystkim się posły równo kłonia,
I wszystkim równe od nich słowo:

— Mir wam! Nie tegoć nam potrzeba.
Mamyć dostatkiem ziem i chleba,
I lud nasz liczny a rozległy —
I teź niczego się nie lęka,
Bo zdawna Pańska nad nim ręka,
I pierś nam starczy za gród z cegły.

I mieć nam więcej nie tęschnota,
I nie potrzeba nam teź złota,
Z żelaza u nas miecz, a socha. . . .
A tak nietrzeba nam nic zgoła,
Jednoby dziewy nam anioła,
Przez którą Pan Bóg lud swój kocha. —

Więc nie chcąc wbrew iść woli Bożej,
Kwapia się w powrót. W tēm, w bezdroży,
Zbłąkanych noca, Pątnik potka.
Imieniem Pańskim ich pozdrowi,
A oni zwierza wędrowcowi,
Jako ich smutkom nie ma środka.

Na to im Pątnik. — O szaleni!
Pan wzbudza chwalców swych z kamieni,
Przeczby opuścił lud swej cześci? —
W tēm się on dziwnie rozanieli,
Z szat mu rozśnieży jasność bieli,
Wzrok się roziskrzy, włos rozpieści.

— Wam posły w drogę niezbyt długa,
Za trzecią górą, piątą struga,
Za siódmy bór, u skał dziewięci,
W modrzewim dworcu król przebywa,
A córa jemu świętobliwa,
A w sromnej dziewie cud się święci.

W bojaźni Pańskiej w czas chowana,
Nalazła łaskę swą u Pana,
Ztąd też i wiano jej nie z świata.
Dar bo, którego gdy nie stawa,
Biednym jak możliwym nie w smak strawa —
W tenci to dziewa skarb bogata.

Rzecz to jest zdawna Pańskiej dłoni,
Byście w dziewosłab poszli do niej —
Onać wam pani jako trzeba. —
To rzekłszy, znikł. Ci, zdjęci trwogą,
Kto zacz, on Patnik? dojsć nie mogą —
A to był sam Pan Jezus z nieba.

Gdy idą ważyć mądre słowa,
Oto jutrozenka z wód różowa, —
Aż też, i według słów, w trzebieży
Wśród skał, królewski dwór wyniosły; —
Pod dach gościnny wchodzą posły,
Sędziwy król też ku nim bieży.

Kornie go w kraj całują płaszczą.
Ten wraz ich szczerze rad ugaszcza,
Przy królu też się, krasnolica
Krzążając dziewa, sromnie płoni,
A dziwna światłość coś w koło niej,
Jak gdy się Panem Duch zachwyca.

Widząc w tem posły cudów znaki,
Gdy tam zmieszkają czas niejaki,
W dziewosłab wstąpić im zachcenie.
Więc się do kolan króla skłonia,
Dla dziewy jego — proszac o nią,
Iż dar ten dla nich w dziwnej cenie.

Ich król od stóp swych ująć sięże:
— O jakoż ból mię słów tych mężę!
Gdyż córa moja — skarb nad córy —
Aczci mi wielce ukochana,
Nie mam ja jednak dla niej wiana,
Jedno, iż nad nią Łaska z góry.

I jednać tylko u mnie ona...
W stareż ja lata dam od łona?
W lud obcy, w ziemię gdzieś daleka...
Lecz mi nad wszystko boleść czyni,
Iż nie mam cobym dał wam przy niej... —
Na to mu posły tak odrzeką:

— Bóg z wami! Nic nam nie potrzeba,
Mamyć dostatkiem ziem i chleba,
I lud nasz liczny a rozległy.
I też nikogo się nie lęka,
Bo zdawna Pańska nad nim ręka,
I pierś nam starczy za gród z cegły.

I mieć nam więcej nie tęsknota,
I nie potrzeba nam też złota,
Z żelaza u nas miecz, a socha...
A tak, nie trzeba nam nic zgoła,
Jednoby dziewy nam anioła.
Przez którą Pan Bóg lud swój kocha.

A z dawien dawna, woła Pana,
Tać nam, o królu, z wszech wybrana,
W śluby ludowi ziemi Kraka.
Przetośmy właśnie tu wysłani,
By ona była nasza pani,
A nie zaś cale inna jaka.

Bo Pan śle prawych, gdzie są prawi —
A błogiem słowem błogosławi,
Tak, że ludowi sława błoga.
A głosem z nieba serc błaganie —
Przeto się nam nie przeciw panie,
Bo prośba nasza — woła Boga. —

Tu król gdy nie wie jako zdziała,
Królewska dziewa wraz wspaniała
Kornie do kolan mu przypadnie:
— O słuchaj panie! prawi śmieie —
Duchci to Pański tchnie w tém dziele,
Wbrew przeciw Panu iść nie snadnie.

Mnie dziś w śnie nocnym głos anioła:
„Jako mię Pan w swój czas powoła,
Służyć swej chwale nie daremnie.“
Z Jegoćto sprawy, jam małżona
Ludowi temu naznaczona,
By go ukochał Pan przezemnie.

Otoć co gwoli tymto godom:
Przed dniami trzema — idąc do dom
Od Wojciechowych świętych kości
Pobożny Pałnik — gdy mię potka,
Z ust jego mowa do mnie słodka,
Jako od rajskich coś słodkości.

K'temu dar przydał — dar, nad złoto:
Skromnej urody pierścień oto —
Lecz przy nim rzekł: — Nim trzy dni zbiega,
Z której on ziemi przyszedł tobie,
Być ci tam matką w prędkiej dobie! —
A otoć posły z kraju tego.

Bo gość jak oni, z ziemi owej,
Kędy grób święty Wojciechowy —
Także i pierścień ztamtađ idzie. —
Tu wspomna posły, jak w bezdroży
I ich też potkał gość on Boży,
Gromiac wąpiących w ciężkim wstydzie.

I rzeknie dziewa moc mocarza:
— Gdy więc mnie czas, iż Pan tak zdarza, —
(Tak rzeknie dziewa serc pociecha,
A blask w koło niej zagra w tęczę):
— Z ludem się moim tu zaręczę, —
Na mojej ziemi, z ziemią Lecha.

W tēm rzuci pierścień białą ręką;
Ten pierzchł gdzieś w ziemi, jak gdy wsięka
Z powrotem dnia, lzy nocnych cieni.
I wszystkim błogość gwiazd krainy,
Iż, zda się, nie są grzechu syny,
Lecz raczej Pańscy odkupieni.

Wraz, jak przystało, z wielką chluba,
Wiodą ją posły w ziemię luba,
A gdy stanęli między swemi,
Po modłach, dziewa Panu miła
Chce, by kopano gdzie stąpiła,
By najść swój pierścień w Lackiej ziemi.

I ot, gdy kopia, jak życzyła,
Sól się znachodzi. Soli bryła
Królewny pierścień w wnętrzu chowa.
Gdy wszyscy milczą wskroś zdumieli,
Ona się dziwnie rozweseli,
A k'temu z ust jej wdzięczne słowa:

Tak rzeknie dziewa: — Otoć wiano,
Które wam za mną z góry dano —
Dar Pański w ziemię dan tajemnie —
Którego właśnie gdy nie stawa,
Biednym, jak możliwym, nie w smak strawa, —
Od Pana dar ten wam przezemnie.

Bo przedsię, ludu mój! wiedz o tem,
Iż Pan nie kocha pychą, złotem,
Też możność ziemską rzecz Mtu krucha, —
I jedno tém, co k'pożytkowi,
Przymierze z ludem swym stanowi,
Bo chce być wielbion w prawdzie Ducha. —

Taki da głos z swych ust niewiasta...
Słowo, siew Pański — kłosem wzrasta,
A żniwo żeń gdy Pan zezwoli.
Tać to jest powieść, toć śpiewanie,
O dziwnej dziewy dziwném wianie,
Które się śpiewa z Pańskiej woli.

Święty Patronie nasz Wojcieszę!
I przewodząca Rajskiej rzesze
Matko, Królową Polską zwana!
Też Stanisławie Boży słuگو!
Dajcie mej pieśni potrwać długo —
Bądź uwielbione Imię Pana! — Amen.

IX.

JAKO KRÓL HENRICUS
JESZCZE CHYŻEJ BIEŻAŁ PRECZ Z POLSKI,
NIŻLI DO NIEJ BYŁ JACHAŁ.

(1574.)

Niestalo Polsce Piasta ni Jagiella:
Opatrzność dała, tać i Ona wzięła.
Naród chce sobie swego; lecz panowie,
Co to świat cały niby na ich głowie,
Wola, by wszystkich za łeb trzymał cudzy,
Niżliby mieli być swojemu słudzy.

Tedy z zamorza, czarci wiedza po co,
W pudełku śklanem, co je zwa karocą,
Wiodą paniatko. Istna łatka z wosku!
Cienki, opięty, kusy po czartowsku,
Pachniący mydłem aż w nos czleku bije;
Kolczyki w uszach, kołnierzyk u szyje,
Rączka do haftu, twarzyczka różowa:
— Tfu! do pioruna! — czy zaś białogłowa
Na króla Polsce? ...

Spowity był cały
W futra, i jeszcze zęby mu szczękały,
Bo mu gadali jego poufnicy,
Ze w Polsce naszej od samej granicy

Mróz trzaskający skrzypi wiekuiście;
 Kiedy zaś spostrzegł, że na drzewach liście,
 Na ziemi trawa, myślał sobie pono:
 Że to na jego przyjazd ulepiono,
 Bo wszystko macał, chcąc też dojść, nieboże,
 Z czego rzecz każda zrobiona być może?

Lecz osobliwie podziw jego wzrasta,
 Skoro obaczył domy, wieś, i miasta;
 Bo mu gadali mędrkowie ci sami,
 Ze więc Polacy za pan brat z wilkami.

Było też widzieć papinkarze owe!
 Każdy z nich nosił w kołnierzyku głowę,
 A zaś rożenek mały przy kieszeni;
 A wszyscy byli tacy oblepieni,
 Że wyglądali, jak gdyby nie mieli
 W co się przyodziać, lub jak człek z kapieli.

Takąto družbę pan przy sobie chowa:
 Paplają, myśląc, że to jaka mowa;
 A on gładzyszek wśród nich z nosem w górze,
 A płaszczyk na nim jak skrzydelka kurze;
 A jak zaś chodzi, to się zda podryga,
 To znów się wierci niby jaka fryga...

O, miły Boże! więc że nam wypadło
 Mieć to miodowe królem czupiradło,
 Iż się zachciało panom tego licha?

Na sam bigosu zapach, kaszle, kicha;
Barszcz w gardło drapie, w ząb go kłuje kasza;
Zrazów się sroma, węgrzyna przestrasza,
I jeno swoje cukrowane cmoka
Winka, pytlując językiem jak sroka,
Gdy szlacheckimi tymczasem imiony
Krzтусi się mydłek, jakby zadławiony...

Mieliż co zwozić panowie zwaśnieni!
Co tu z rożenkiem? chyba do pieczeni.
Co można robić z rękami, jeżeli
Nie ma człek pasa ani karabeli?
A nadewszystko, co nam z takiej głowy,
Od której tylko zapach olejkowy?
Co Polsce z serca, które zamiast zbroi,
Niewieści rabek i aksamit stroi?

Więc też na sejmie, w onem krześle chwały,
Gdzie same dotąd męże zasiadały,
On smyk wyglądał jakby chłopię płochę.

By sobie jakoś nadać wagi trochę,
Chciał się rozwalić i wyciągnąć nogi;
Ale gdy spojrział, strach go przejął srogi
Tylu postaci, tak coś pełnych ducha,
Że im bezkarnie w kaszę nikt nie dmucha,
I też nie jednej porąbanej twarzy,
Której błysk oka dziwnie się kojarzy

Z szablicy błyskiem, a ta kiedy brzęka,
Mniej nieco śmieszna od jego roženka.

Więc zaraz odtąd nosem kręcić zacznie,
I z Niemcy swemi bredzić coś cudacznie.

Cóż, gdy mu przyszło (jak mu słusznie każem)
Z panienką naszą stanąć przed ołtarzem,
To zamiast Bogu dziękować w pokorze,
Że się z królewska krwią połączyć może,
Ten zkądś lichy zamorski szlachetka
Pocznie wybredzać i natrącać z letka:
— A to że brzydka, a to znowu stara,
A to metresy trzymać przy niej wara...

A idźże sobie blaźnie ty na cztery
Wiatry, jeżeli chcesz by człek był szczery!
Toż ty krew, co jest Polskiej ziemi chwałą,
Masz sobie za nic, lub za bardzo mało?
Nie doczekanie twoje wiercipięto,
Byś miał za żonę tę panienkę świętą,
Co ja swą Panią zowie Polska cała;
Co nas tak kocha, że nigdy nie chciała
Iść za mąż z kraju, chcąc być zawsze z nami.

Więc widząc chłystek, że nas nie omami
Swem trefnisiostwem, ani złapie w sidła,
Niewartem swoim parlefranse z mydła,

A naówczas, że mu niespodzianie
Taka Zborowski kością w gardle stanie,
Iż Wapowskiego mając rzecz nazwisko,
Od zachłyśnięcia był już czkawki blisko;
Pocznie układać z swojemi panięty,
Ze może lepiej, za pas wzięwszy pięty,
Kopnąć się nazad zkad się przyjechało,
Niżli się guzom nadstawiać zbyt śmiało.

Zatém, cichaczem zabrawszy manatki,
Czarcim sposobem, on paniczyk gładki,
W téj samej, w której przyjechał karocy,
Do Farmazonii prysnął o północy.

Cóż tedy? Za nim gonią panów zgraje,
A naród krzyżyk na drogę mu daje. —

x.

D U M A

O SAMUELU KORECKIM.

Wśród Czarnej Wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy też się jeszcze kiedy z ojczystemi
Obaczy progi?

W trzynastu bitwach, grzmieniem niesłychanem,
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli sprośni naiezdnicy —
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen, z strzaskaną
Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał, spytał sułtan dumnie,
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukaném? —
— Nikt, odrzekł Samuel, sam tak chciałem. U mnie
Jam tylko panem. —

— Widzę żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła... —
— Wiedz że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy strażę,
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z po za świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... Wstrząsł się, i, o dziwo!
Zadrzał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwa
Na włóczn zatknęto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w lono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi... —

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wskróś szpar drzwi więźnia zkad te mdlawe brzaski?
Chrzęśły wrzeciądze. — Kto tam? — Czausz sultana
Wchodzi, zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To co rzekł zwiastun snadź zle jakieś knowa, . . .
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alic tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł, i boleść sroga
Pierś mu przesywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! rzekł cichemi modły,
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły! —

A w tem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści..
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu sięgłszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi.
Dwunastu było. — Wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwściekła imie,
I z rykiem runa na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł, — barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł, złamany — ale nieugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibadź Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

XI.

JAKO KRÓL SOBEK,
PRZEGRAWSZY DOMA, WYGRAŁ POD
WIEDNIEM.

Pan Hetman, silny w ducha, w dłoń i w słowa,
Przecież mniej silny, niżli białogłowa;
Jeździ po karku Turczyna sasiada,
Lecz mu samemu Jejmość na kark wsiada;
Jest dzielnym wodzem na czele swej młodzi,
Lecz go samego Jejmość za nos wodzi.
— Proszę cię duszko, mówi słodkiem słowem
Wygrzmień mi tego Tatarów pod Lwowem. —
— Jeśli masz listość dla słabej kobiety,
To pod Chocimem wykrop Turkom grzbiety. —
— Jeżeli nie chcesz, bym mgląła ustawnie,
To podpisz serce układy w Żurawnie. —
Pan Hetman kropi, podpisuje, grzmota,
Wreszcie odpocząć bierze go ochota,
Aliści Jejmość znów mu głowę suszy:
— Wiesz co, rybeńko, jak cię kocham z duszy,
Tybyś powinien królem Polskim zostać. —
Więc został królem. . .

Nowa rzeczy postać:

Francuz i Austryak stoja przeciw sobie.

Myśli król w duszy: -- teraz wiem, co zrobię;

Czas z Rakuzkiami skończyć praktykami,
Trzymam z Francuzem.

Gdy raz byli sami,
Jejmość na nerwy wielce się uskarża.
— Proszę cię, kotku, wszak wesprzesz Cesarza?
— Nie mogę. — Możesz. — Ale, Marysieńku,
To chciwiec wielki. On mi pomaleńku,
Nieznacznie, gotów wleść aż do Krakowa. —
— Nie mów tak głośno, bo mię boli głowa.
W twe przewidzenia nie zupełnie wierzę;
Ktoś ci je poddał. — A więc wyznam szczerze,
Że król Francuzki. . . — Co? ten gbur prostaczy,
Który mię w rękę całować nie raczy?
Słabo mi! mdleję! . . . — Rwetes! rejwach! biega
Ratować, trzeźwić. Tegoż dnia samego
Król, sam się dziwiąc z naglej w sobie zmiany,
Zamiast z Francuzem sprzął się z Rakuszany.

Jak na to, Turek, z wojskiem niepośledniem,
Wybrał się gracko pohulać pod Wiedniem.

Więc Cesarz takie wyprawi pisanie:

— Życzę ci zdrowia Mości ex-Hetmanie,

Dzisiejszy królu! Oto rzecz jest taka:

Ty bij się za mnie, a ja dam drapaka,

Boć nie napróżno sprzęgliśmy się ściśle. —

— Co? co? za Niemca bić się? Ani myślę. —

— Ale serdeńko; kiedy Legat prosi. . . —

— Choćby i skrzypiał, jak kolo na osi,

To mię już więcej z Niemcem nie pobrata. —
— Legat Papieżki. . . — Przeproszę Legata,
W rękę go, w nogę, pocałuję w skrusze,
Ale Niemcowi wręcz odmówić muszę. —
— Lecz Ojciec Święty. . . — Sam mam dość kłopotów;
Ojcu Świętemu wszystkom zrobić gotów
Byle nie trzymał z Niemcem. — Jak chcesz wreszcie;
Nie mnie to słabej sprzeczać się niewieście.
Zrobisz, jak zechcesz, boś ty przecie Panem. —
— No. . . jakbym. . . tego. . . —

Z licem zagniewanem

Umilkła Jejmość, i tylko bez przerwy
Na ból się głowy skarżyła i nerwy.

Nazajutrz rano czarcia moc przyniosła
Wilcze grafiatko, Cesarskiego posła.
On tedy Wilczek łąsi się nielada,
Wyrzeka, skomli; wszystko nic nie nada,
Więc plackiem do nóg. — A toż sroga męka!
Patrz, Marysieńko, on przedemną klęka. —
— To proś go siedzieć. — On ledwie nie płacze. —
— Ależ bo twoje obejście prostacze
Lez tylko warte. — Patrz, on ręce składa. —
— Daj mi tam pokój. Jam już bardzo blada,
Zaraz zemdleję. — Czekał tylko chwilę.
Jeśli i dziś się ku Niemcom przechyle,
To już wyraźnie, żem jest kiep, dowiodę. —
A ona na to, głaszcząc go pod brodę:

— Fe! brzydkie słowo, tchnące kordegardą.
Nie trzeba nigdy stawiać się tak twardo
Słabej kobiecie, mającej swe plany.
Ja wiem, tyś człowiek dobrze wychowany.
Ty mi obronisz Wiedeń. . .

Kusa sprawa!

Więc król rad nie rad zakasał rękawa,
I w chwilę potem Turcy umykali,
Aż się za niemi kurzyło w oddali.

Wtem wraca Cesarz wśród licznej czeredy:
— Cóż? Wiedeń wolny? No, to dobrze. Tedy
Idź teraz każdy, gdzie jest droga komu.
Kłaniam i żegnam. Ja zostaję w domu,
A Mospan Polak wracaj w swoją stronę. —

Rzeknie król, kręcąc wąsy nastroszone:
— Jabym tu został na zimowe leże. —

Na to Leopold; — Ja sam radbym szczerze,
Lecz owies drogi, a i wy też przecie
Jeść wasserzupki cienkiej nie zechcecie.
Więc, szczerze radbym. . . ale cóż? nie mogę, —
S e r v u s mój panie i krzyżyk na drogę. —

Rzeknie król: — Z Polski, z kądeśmy ściągali,
Przyszliśmy syci, z miną gęstą, cali;
Wracamy ranni, głodni i obdarci. . .
Żegnam mój panie, niech cię porwą czarci! —

I myślał idąc: — Dobrze mi. Nie chciałem
Nosić miecz chwały przed królem Michałem,
Co był i szlachcic, i szedł z rodu Piasta;
Więc mię dziś za nos wodzi mdła niewiasta. . .
Ale tym sztuczkom będzie wreszcie satis,
Takie jej wytnę verba veritatis
Za mym powrotem, że spazmów dostanie;
A ja . . . nic na to. U mnie tak, Mospanie! —

Kiedy już wjeżdżał w bramy Willanowa,
Patrzy, aż żonę strasznie boli głowa.
Wtem ta królowa wielce słabowita:
— Jak się masz serce? słabym głosem pyta. —

Na to jej ostro król strapiony srodze:
— Ha! mam się zpyszna, tak jak groch przy drodze. —
— Fe! brzydki wyraz, rzekła słowem miłym. —
Król stracił rezon. — Jak chciałaś, zrobiłem.
Kazałaś bronić Wiednia. Wiedeń oto
Swobodny. Chciałaś, bym się bił z ochotą,
Nie oszczędzałem ni głowy, ni piersi. . . —
Na to mu rzekła Marysieńka: — Merci. —

XII.

Z SZEKSPIRA.

HENRYKA IV, PIERWSZEJ CZĘŚCI,
AKTU IV, SCENA PIĄTA.

Pole bitwy pod Bordeaux. Wchodzi Talbot i syn jego Jan.

<http://rcin.org.pl>

TALBOT.

Synu, jam na to chciał cię mieć przy sobie,
I na to sam cię wprawiał do oręża,
Żebyś Talbotem był, gdy mnie zwycięża
Wiek, i gdy stopy moje grzęzną w grobie.
Nieszczęściem, tak się ślalo, żeś nieboże
Na nieprzydatną śmierć pośpieszył do mnie;
Otóż — nie będzie tak — i być nie może —
Patrz — tędy droga — oto rumak chyży,
Spiesz, chwila zwłoki zgubę tylko zbliży!

JAN.

Jam Talbot, syn twój — a ty chcesz, mój ojcze
Żebym uciekał? Toż ty plamę rzucasz
Na czystość matki mój — nędznika we mnie
Widząc, o którym słusznie mówić będą:
Ten co unosząc życie, zbiegl nikczemnie
Gdy Talbot życie dał, — w tym krwi Talbotów
Nie było ani kropli!

TALBOT.

Synu! synu!

Uciekaj pomścić śmierć matę, jeżeli zginę. . . .

JAN.

Ktoby w podobną odejść śmiał godzinę,
Ten wrócić nie ma po co! . . .

TALBOT.

Jeśli oba

Pozostaniemy, to zginiemy oba! —

JAN.

Więc, niech zostaną ja, nie ty. Twym zgonem,
 Nieobliczonych sprawcą stać się mogąc
 Klęsk, nie masz prawa ocaleniem gardzić.
 Z mym zgonem, cóż kto straci? Nie, ucieczka
 Nie zdoła zaćmić sławy twej — lecz dla mnie,
 Którego czyny żadne są — śmieć od niej
 Lepsza! Ustąpić z pola, by tęp godniej
 Bój wznowić — tobie wolno — mnie nie wolno,
 Jeśli być tchórzem nie chcę. Któż z rycerzy,
 W szlachectwo dzielne krwi mych żył uwierzy,
 Jeśli przy pierwszej klęsce tył podając,
 Z kopyta pomknę? Ojciec mój, u stóp twych
 Litości błagam — niechaj w szybkim pedzie,
 Śmierć mi chwalebną znaleźć wolno będzie,
 Nie każ mi w hańbie szukać ocalenia!

TALBOT.

Więc chcesz, by jeden i ten sam pochłonał
Grób, wszystkie naraz matki twej nadzieje?

JAN.

Czyż od zaszczytnej lepsza jest mogiła
Hańba wnętrzościom które mię nosiły?

TALBOT.

Więc się mej kłatwy lekaj, krunąbrny chłopcze;
Precz ztąd!

JAN.

Ku wrogom — zgoda, — ale nigdy
W przeciwną stronę!

TALBOT.

Słuchaj — uciekając,
Własnego w tobie część ocalisz ojca...

JAN.

Część, z którą wieczny rozbrat część uczyni!

TALBOT.

Badźże rozsądnym. Jeszcze czasu nie miał
Chwały się dobić — więc jej i nie stracisz —

JAN.

A twoja — której spadkobiercą jestem?
Splamieź ja?

TALBOT.

Ojca twego wolę — słyszysz? —
Ostatnią wolę spełnij!

JAN.

Jeśli zginiesz,
Któż mi tych twoich słów poparciem będzie?
Nie. Jeśli uciec mam, to tylko z tobą!

TALBOT.

Co? Zmysły tracisz! Precz! Więc tu, bezemnie,
Waleczni moi na to się pokładną
W mogiłę chlubną, by ich wódz nikczemnie
Swą zdradę uniósł? ... —

JAN.

A więc miarą żadną
Odemnie także nie wymagaj zdrady.
Słuchaj — przysięgam w obec śmierci bładęj,
Prędeż sam z sobą rozbrat zrób, niżeli
Moc jakakolwiek z tobą mię rozdzieli.
Idź — zostań — zdziałaj co ci się podoba, —
Nie sam to zdziałasz, lecz zdziałamy oba.
Z utratą ojca — tak mi pomóż Boże —
Tylko u jego stóp mają głowę złożyć!

XIII.

ZAŚLUBINY ŚW. KATARZYNY.

<http://rcin.org.pl>

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 7.)

Otoć wam Wybrani radości wiele —
Panu dana przedsię niech będzie chwała —
Iż nam Barankowe przyszło wesele,
A małżonka Jego się zgotowała.

HARMONIE NIEBIESKIE.

W Jeruzalemie, na górnym Syonie,
Gród Pański Krzakiem Gorejącym płonie!
W Aaronowej różczce wykwitnięta
Ze śnieżnej lilii kielicha,
Wschodząc jutrzenką niebieskiego święta
Marya się wdzięcznie uśmiecha,
Ujęte pasem z siedmiobarwnej tęczy
Dwie szaty wieją w koło niej:
Jedna się słońcem zachodzącem ploni,
Druga błękitem się wdzięczy.

ZBÓR MŁODZIANKÓW.

Śpieszmy o! śpieszmy chłopięta —
Oto wam krańce zasłony —
I z tej i z tamtej niech strony
Zarówno będzie ujęta!
Plynie jak obłok z mgły jasnej cała.
Najświętsza Matka sama ją tkąła
Dziergając strzałką świetlaną.
Wątkiem był bisior bielszy nad śniegi,
Wschodnie jej słońce złożyło brzegi,
W rzece ją mlecznej nurzano.

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 8.)

Zaczem dano dziewie, by się przyodziała,
Bisior czysty jako dnia promienie;
Bowiem bisior świętny, bowiem szata biała
Jest to Świętych usprawiedliwienie.

ARCHANIÓŁ GABRIEL.

(Mal. XXV.)

Wy dziew pięcioro, którym na gody
Przezorna starczy oliwa,
Zapalcie lampy wasze, Pan młody
Z oblubienicą przybywa!

ZBÓR MĘCZENNIKÓW.

Pan idzie! Pan się przybliża!
My, którym dano koronę,
Palmy krwią naszą skropione
Ścielmy do stóp jego krzyża!
Błogosławiony, iż lud swój wiedzie
Jasnym na puszczy obłokiem!
Pokój na ziemi, doczesnej biedzie,
Chwała na Niebie wysokiem!

ZBÓR WYZNAWCÓW.

(Luk. XIX. 40.)

Hosanna Tobie Panie
Z ust naszych! bo jeżeli
Będziemy my milczeli,
Z kamieni głos powstanie!

ZBÓR ŚWIĘTYCH DZIEWIC.

O piękna, czysta, wdzięczna niemało,
W której się panu upodobało,
Lilia doliny Saronu róża,
Przemożny Dworzec pański na skale,
Jeruzalema zdobna wspaniale,
W której się nigdy dzień nie zachmurza!

HARMONIE NIEBIESKIE.

Pan — Oblubieniec — Pan idzie!
Dawidzie, królu pieśniarzy —
Pieśniarzu królów, Dawidzie —
W tobie niech Duch się rozgwarzy!
Niech pierś ci wzbierze Mocą natchnioną,
Palce niech w struny uderzą,
Jako, gdy niegdyś Arkę niesiono,
Tańcem wesołe prowadząc grono,
Śpiewałeś Panu pieśń świeżą.

ZBÓR WYBRANYCH.

My za nim pieśniarze na wspólne śpiewanie,
Prorocy i wieszcz, Niebiescy dworzanie
I wszelkie gędzienne narzędzie:
I kotły i grzmiący dźwięk trąb lśniących świetnie,
I arfy i liry i lutnie i fletnie,
I skrzypiec tęchnienia łabędzie;
Pieśń śpiewna i grana i pieśń żywe słowo,
Jako z czem kto przychodzi!
Cecyljo dziewico harmonii królowo,
Ty w brzmiącym organie, w pieśń jedną godowa
Wśród dźwięków łącz powodzi!

ZBÓR MĘDRCÓW PAŃSKICH.

Siedm jest złotych nieb, siedm w przymierza tęczy
Barw jest, dźwięków siedm w Mowie Pańskiej
dźwięczy,

Skrzy siedm gwiazd Mu w ręku wskroś przebitem,
Siedm pieczęci Pańskich strzeże bram otchłani,
Kędy siedmią gniewów razy siedm spętani,
Wśród klęsk siarki, w pośród dymu chmur, szatani
Armageddon wspominają z zgrzytem.

ARCHANIOL MICHAŁ.

(Apok. XII. 7.)

Runął świat, gdzie klęski z klęsk się mnożą —
Z chmur Duch Światła wzłata!

ZBÓR MĘDRCÓW PAŃSKICH.

Pan ślubuje sobie mądrość Bożą,
Męczennicę świata!

ARCHANIOL RAFAEL.

Nad wybranemi nad dwunasta
Płomienne języki zgaście;
Bo oto Syon Święte miasto
Swym bram otwiera dwanaście!

ŚWIĘTY KOŚCIOŁ POWSZECHNY.

(Marek. XIV. 58.)

ZBÓR PO LEWICY.

W trzech dniach Pan, dobry pasterz swej owczarnie,
Przybytek wznosił królowania,

Ramiony krzyża świat ku sobie garnie,
Ran pięciu murem obrania.

ZBÓR PO PRAWICY.

(Jan X. 2, 3.)

I wchodzi do nas jawnie jak widzicie,
Nie z inąd jeno od bramy,
I każde z nas nazywa mianowicie,
I my słów jego słuchamy.

FAZEM.

Jakoś się nam wielmożyć dał w pokorze,
Tak w Twym kościele — w nas — racz Ojczy Boże
Uwielbić Imię Twoje...

OJCIEC WSZECHMOGĄCY.

(Jan XII. 28.)

Uwielbiłem,
I wielbić będę jeszcze!

ZBÓR UCZNIÓW PAŃSKICH.

Na twarz! Skroń nasza niech się brata z pyłem.
Zkąd nam te święte dreszcze?
Czem był ten głos co nas wskroś trwoży (Jan XII. 29),
Zkąd wyszedł? odgadnąć któż zdola —

Byllito grzmot prawicy Bożej,
Czy słowa Pańskiego Aniola?

HARMONIE NIEBIESKIE.

Objęło wszystkich ciszy tchnienie tajemnicze,
Przed blaskiem czoła nawet schylili Anieli...

Któż się głos wznieść ośmieli?

Kto z prochu podnieść oblicze?

Janie!

O czym ty dumasz w tej chwili?

Wtedy gdy drudzy czoła schylili,

Ty stoisz nieprzerwanie,

I, jako orzeł przedziwnie śmiały,

Sam jeden wzrok twój tkwisz w słońcu Chwały.

Ocknij się Orle Boży!

Widzący nasz,

Ty masz i znasz —

Nam tylko słuchać świętego męża...

Powiedz nam: czym się wzrok twój wyteża?

Przed czym się duch nasz w proch znów ukorzy?

Wszakżeś ty z piersi Pańskiej przejął tchnienie

(Jan XIII. 23.)

I Pan ci kazał czekać nieskończenie (Jan XXI. 22.)

JAN ŚWIĘTY.

(Apokalipsa XIX. 9.)

Błogosławieni goście tej wieczerzy,

Gdyż chęć ich Pańska tam wiodła!

Słowa te Boże — niech im każdy wierzy,
Prawdy w nich żywe są źródła.

(XXI. 6., XXII. 13.)

Strzeżcie ich wielce jak ich Pan przestrzega.
Stało się: Jam jest Alfa i Omega,
Ja spragnionemu dam (są słowa Jego)
Pić w źródle wody żyjącem;
(Słowa te orły niech się w świat rozbiega!)
Jam jest — Pan mówi — Alfa i Omega!
Jam jest początkiem i końcem!

LUTNISTA NA ZIEMI.

Świt — dzień — błękit — i promienie —
Co? czy już — czy jeszcze? ...
Myślę, tęsknię nieskończenie —
Senze to był przypomnienie,
Czy widzenie wieszczę?

O! racz dać wcielenie Słowa,
Jasności skrzydłata,
Niech mię w swej opiece chowa
Wybranica Barankowa —
Męczennica świata.

Bo w niej zdrój Mądrości Bożej,
Jako ona czysty;
Niech, gdy mi go Pan otworzy,

Krople Łaski co najsporzej
Spłyną w pierś Lutnisty.

Czy z niej w pieśń czy w łzy popłyną,
Blisko czy daleko,
Panno Święta Katarzyno,
Ty na ziemi bądź jedyną
Lutnisty opieka!

Miarkuj każdy lot mój śmiały
Tęschnem piersi tchnieniem —
Daj mym pieśniom, by się stały,
Na pociechę Pańskiej Chwały,
Duszy mej zbawieniem!



INSTYTUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH I
Biblioteka
ul. Piłsudskiego 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

F

739